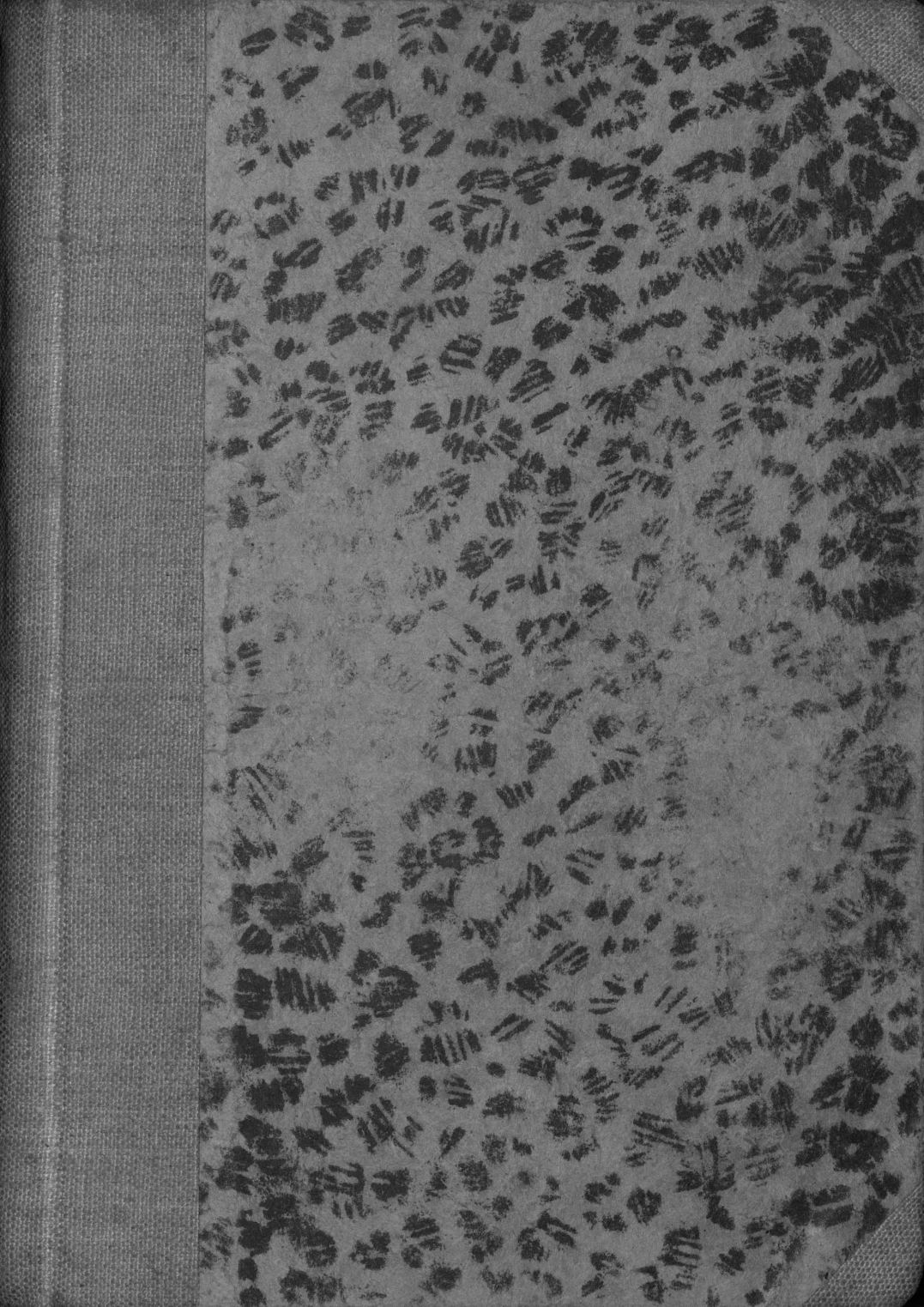




Młodzieniec o krótkim nazwisku.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

lp

MŁODZIEŃC O KRÓTKIM NAZWISKU

Prawo autorskie co do przedru-
ków i przekładów zastrzeżone.



NAKŁADEM W. S. C. WARSZAWA, 1914.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA i WOLFFA.
KRAKÓW—G. GEBETHNER i S-ka.

2658

~~Miejska Biblioteka Publiczna
w Białymstoku~~
1524

884-311.2+884-2

240
R. 585
4/12.451

M

Czcionkami „Drukarni Krajowej“ (W. Krawczyński i S-ka) Żelazna 89.

ŻENIEC WYJAZDEM NAZWISKU

opisami Andrzeja Zarzyckiego.



Nakładem W. S. C.

WARSZAWA
WYDAWCA: G. C. WNY: GEBETHNER i WOLFF.
KRAKÓW. GEBETHNER i S-ka.
1914.

100
20
100



Młodzieniec o krótkim nazwisku.

Wszystko poszło piorunująco szybko. W początkach stycznia p. Jaworski poznał pannę Helenę, a w lutym już się odbył ślub. Miłość sama przez się już jest uczuciem oszałamiającem, a cóż dopiero, jeśli się z nią łączy nadmiar spraw codziennych, które trzeba z gorączkowym pośpiechem załatwiać. Literatura przedstawia narzeczeństwo, jako okres jakiejś błogiej ciszy i ukojenia serc, w rzeczywistości nigdy chyba człowiek niema tylu prozaicznych spraw na głowie, jak w okresie narzeczeństwa. Gdyby porównać słodycz, jaką spełnia serce obcowanie z ukochaną, z goryczą, jaką toż serce wzbiera skutkiem zatargów z niesłownością i niesumiennością dostawców, meblujących mieszkanie, przewaga okazałaby się napewno po stronie goryczy. Jaworski chodził, jak błędny i znajomi jego powtarzali jednomyślnie, że najzupełniej stracił głowę.

Zbyt dalekie to od prawdy nie było. Jaworski zenił się z miłości. Dla znajomych najlepszym dowodem tego był fakt, że brał pannę bez grosza posagu. Wzbudzało to nawet poniekąd sensację, gdyż Jaworski miał opinię człowieka chciwego i skąpego. Ci wszyscy jednak, którzy powtarzali, jak na zawołanie, skoro się o nim zgadało. „No, no... taki chciwiec, ktoby się był tego po nim spodziewał” — nie zastanawiali się nad tem, że chciwość i skąpstwo nie wykluczają bynajmniej idealizmu. Jaworski był na swój sposób idealistą.

Jeśli cały zasób sił życiowych, jaki posiadał, wkładał jedynie w robienie pieniędzy, to dlatego, aby następnie móżdżek te pieniądze złożyć w ofierze wybranej i ukochanej kobiecie. Była to więc też praca „dla innych“, wbrew temu, co mu zarzucano powszechnie, że nic „dla innych“ zrobić nie chce. Ludzie gwałtowniejszego temperamentu nazywali go nawet z tego powodu wprost i wulgarnie — świnią. Ale Jaworski o to nie dbał. Szedł prostą drogą do wytkniętego celu, osładzając sobie powszedniości życia marzeniem o przyszłym szczęściu. I to szczęście ziściło się wreszcie. Trochę późno: Jaworski miał już pod pięćdziesiąt lat, ale nic tak nie konserwuje sił, zdrowia i świeżości, jak wyteżona praca. Wracając od ołtarza, Jaworski był „panem młodym“ nie tylko w konwencyonalnym, ale w całym tego słowa znaczeniu. Najzłośliwsi znajomi musieli przyznać, że się świetnie trzymał i nie było pola do zwykłych niemoralnych hipotez, jakie nasuwa małżeństwo starszego bogatego mężczyzny z młodą niezamężną panną.

Nazajutrz po ślubie państwo młodzi wyjechali za granicę, do Monte-Carlo. Plan podróży poślubnej układała pani Helena. Ponieważ nadzieja poznania Monte-Carlo przejmowała ją niesłychaną radością, więc i Jaworski cieszył się, że pozna Monte-Carlo, choć w gruncie rzeczy nic go tam nie ciągnęło. Właściwie, gdyby o jego zdanie chodziło, sądziłby, że jeśli ktoś z wielkim nakładem kosztów i starań urządził sobie przesłizne mieszkanie, to tak rozkoszny okres życia, jakim jest miodowy miesiąc, powinien być właśnie w tem mieszkaniu spędzić, a nie po hotelach i wagonach, jak komiwojażer. Ale o jego zdanie nie chodziło. Zresztą na miejscu niepodobna się odosobnić od znajomych, którzy, choćby się najbliżej z nimi żyło, w pewnych momentach stają się zbyteczni i ten wzgląd godził go z myślą o podróży.

Ponieważ pani Helena po raz pierwszy w życiu wyjeżdżała za granicę, więc jadąc po drodze do Monte-Carlo, nasuwało się zwiedzenie Wiednia i Mediolanu. W każdym z tych miast Jaworscy bawili po trzy dni. Jednym z najgorszych samoudręczeń i tem dziwniejszych, że ludzie poddają się im dobrowolnie i wmawiają jeszcze w siebie przyjemność,

jest zwiedzanie miast w podróży. Pani Helena należała przytem do tych zapalonych turystek, które żadnej galeryi nie darują. I z nabożnem skupieniem wysłuchiwała objaśnień przewodników. Całe szczęście, że wszystkich tych objaśnień zapomina się odrazu po wyjściu z galeryi, bo gdyby kto mógł naprawdę zachować w głowie ten potok cały średniowiecznych dat i melodyjnie brzmiących nazwisk, których etykieta turystyczna nakazuje wysłuchiwać na każdym kroku, niechybnie doprowadziłoby go to już w połowie podróży do obłądu. Na wyjeździe z Mediolanu Jaworski doznawał takiego wrażenia, jak gdyby przez tydzień z rzędu nie wychodził z kinematografu. Ale imponował mu zapal żony. Widząc, jak Heluśka (z różnych zdrobnień, jakie wypróbowywano po ślubie, to okazało się najpodatniejszym do codziennego użytku) nie tylko się nie męczy, ale codzień od samego rana jest już gotowa do przyjmowania nowych estetycznych wrażeń, Jaworski roztkliwiał się w duszy:

— Niepospolita kobieta!

Wszystkie młode żony bywają do pewnego czasu niepospolite. Tak samo, jak wszystkie dzieci bywają do pewnego roku życia wyjątkowo inteligentne. Dlaczego wobec tego ludzkość cała nie składa się z samych wyjątkowych istot, jest to niezbadaną tajemnicą. Jaworski nie zastanawiał się nad tem. Miłość i podziw dla żony dodawały mu sił do znoszenia przyjemności podróży, a zresztą pocieszał się myślą:

— Jeszcze jedna noc, kłapniemy w Monte-Carlo i przynajmniej przez trzy tygodnie nie trzeba się będzie ruszać z miejsca.

Z Baedekera, którego studyował sumiennie, przekonał się z radością, że Monte-Carlo nie mogło się poszczycić posiadaniem zbiorów dawnej wielkiej sztuki. I to go odrazu sympatycznie do miejscowości usposobiło. Z całego serca wdzięcznym był Heluśce, że tę miejscowość właśnie, a nie inną wybrała na dłuższy pobyt. Przez sześć dni Wiednia i Mediolanu wielka sztuka obrzydła Jaworskiemu ostatecznie. Było to jego tajemnicą, do której za nic w świecie nie przyznałby się przed żoną, ale tej wielkiej sztuki miał już tak

dość, że formalnym lękiem przejmowała go myśl, że może się jeszcze po drodze trafić jakieś nowe nieoczekiwane muzeum. Heluska przytem chciała z tej pierwszej swojej wycieczki w świat poza przyjemnymi wrażeniami odnieść i intelektualne korzyści. Ten jej instynkt erudycyjny był tak silny, że przewyższał czasami instynkty miłosne. I w chwilach najtkliwszych zapomnień zwracała się nagle do męża.

— W którym to roku urodził się Rubens?

Jaworski nie wiedział. Żałował tylko, że wogóle jakkolwiek Rubens na świat przyszedł i to jeszcze w taką złą godzinę, że w kilkaset lat po śmierci mącił spokój ludziom, którzy mu nic złego nie zrobili. Ale Heluskę gorszył brak pamięci męża. I to „Jak to ty nie pamiętasz?“—mówiła z takim akcentem smutnego rozczarowania w głosie, że Jaworski nie mógł już mieć żalu ani do niej za zadawanie nieodpowiednich pytań w nieodpowiednich chwilach, ani do nieboszczyka Rubensa za to, że żył, tylko do siebie za tępy brak pamięci.

Była chwila przed wyjazdem, gdy wybór Heluski wahał się pomiędzy Monte-Carlo a Rzymem. Jaworski usiłował przeciągnąć ją nawet na stronę Rzymu, gdyż uważał, że nada to podróży poślubnej uroczystszy charakter. Do Monte-Carlo był uprzedzony z racji złej opinii, jaką miejscowość ta posiada w świecie. Dopiero po doświadczeniach pierwszego tygodnia podróży, mógł odczuć i zrozumieć czego uniknął.

— Jezus Marya... coby to było, gdybyśmy pojechali do Rzymu...

Była to najmiłsza refleksja, jaką mu nasunęło zwiedzanie katedry w Medyolanie.

I dlatego, gdy pociąg stanął wreszcie na stacyi w Monte-Carlo, Jaworski wysiadł z wagonu z takim uczuciem, z jakim wygnaniec wraca po długiej tułaczce do rodzinnego kraju. Nareszcie obiecywał sobie parę tygodni miłości czystej bez domieszek etnograficznych i estetycznych. I rzeczywiście, wszystko zaczęło się cudownie. Heluska była już także turystką zmęczona i również chciała odetchnąć samem uczuciem. Pierwsze dni zeszły im słonecznie i sielankowo

między hotelem a tarasem przed Domem gry, skąd roztaczał się cudny widok na morze. Wysiadywali tam całemi godzinami. Były to ciche, słodkie siesty—prawdziwy wypoczynek. I wszystko dokoła przepojone było słodyczą. Nawet strzały w „tir aux pigeons“ brzmiały jakoś łagodnie i słodko. Zapomnieli o Bożym świecie. Dopiero na jakiś czwarty dzień po przyjeździe Heluska, ubierając się pośpiesznie do śniadania, krzyknęła nagle przerażona.



— Przecież myśmy w kasynie jeszcze nie byli!

— A nie byliśmy.

— To przecież ludzkie pojęcie przechodzi. Rozumiem, że jeszcze od biedy można być w Rzymie i nie widzieć papieża, ale żeby w Monte-Carlo zapomnieć o domu gry...

— Całe szczęście, że kasyno niedaleko — śmiał się Jaworski.

— No więc zaraz dziś po śniadaniu idziemy. Nie można tak przecież wiecznie...

Dzwonek na śniadanie nie dozwolił Heluśce dokończyć zdania. Po południu wybrali się do kasyna. Była to niedziela, demokratyczny dzień i przy stołach panował taki ścisk świątecznych gości, że nigdzie niepodobna się było docisnąć. Heluśka nie widziała nawet rulety. Po kwadransie uciekli — rozczarowani. Na schodach Jaworski roześmiał się wesoło.

— Widzisz, że nie tak wiele straciliśmy, nie śpiesząc się.

Ale Heluśka zaprotestowała.

— Nie, nie, nie... Dziś nie można sądzić, bo to niedziela. Ale przyjdziemy jutro. W powszedni dzień napewno takiego tłoku nie będzie. Ja postawię i ty na jeden i ten sam numer przy różnych stołach. Zobaczmy, kto ma większe szczęście.

Jaworski obejrzał się niecierpliwie. Jakiś młodzieniec napozór nawet dość przyzwoicie wyglądający siedł za nimi tak blisko, jakgdyby chciał podsłuchać co mówili, a prawdopodobniej wyciągnąć coś z kieszeni. Ruch Jaworskiego spłoszył go. Heluśka obejrzała się po za siebie.

— Napewno jaki złodziej—zauważył Jaworski.

— Ja go sobie przypominam. Już wczoraj go widziałam. Jakiś siedzieli na ławce na tarasie, bardzo pilnie się nam przyglądał—odparła Heluśka.

— Takich ptaszków tu pełno, trzeba się ich pilnować.

Przeszli się parę razy po tarasie i powrócili do hotelu, ponieważ zbliżała się pora obiadowa. W chwili, gdy Jaworski się przebierał zapukano do drzwi. Wychyliwszy głowę na korytarz, Jaworski dowiedział się od portyera, że ktoś czekał na niego na dole w hallu.

— Kto taki? Nie oddał biletu?

— Powiedział tylko, że z Warszawy.

— Pewno ktoś znajomy przyjechał i chce nam niespodziankę zrobić—zauważyła Heluśka.

Jaworski pośpiesznie skończył się ubierać i zeszedł na dół. Najrozmaitsze nazwiska przychodziły mu na myśl: „Janikowski, a może Baumfeld“, ale nie był to nikt ze znajo-

mych, lecz ów młodzieniec, który przed chwilą siedł za nim krok w krok na ulicy.

Ujrawszy go, Jaworski domyślił się odrazu celu wizyty. Nie zważając na grzeczny ukłon młodzieńca, który mruknął pod nosem jakieś krótkie nazwisko, odezwał się opryskliwie.

— Czem mogę panu służyć?

Młodzieńca zmieszało widocznie tak obcesowe pytanie, gdyż nic nie odpowiedział. Jaworski powtórzył dobitnie.

Czem mogę panu służyć?...

Gość jego zdecydował się nareszcie, aby przemówić.

— Jestem w strasznym położeniu, przegrałem wszystko co do grosza—zaczął płaczliwym głosem.

— I ja mam panu dać pieniędzy, przerwał drwiąco Jaworski, na to, żeby się pan mógł odegrać. Przyznam się, że jest to rzadka bezczelność nachodzić kogoś nieznajomego w hotelu po zebraniu.

I obaj odwrócili się jednocześnie. Jaworski ku schodom, a młodzieniec ku drzwiom. Z pośpiechu, z jakim żebrak uciekł z hotelu, można było wywnioskować, że tliły się w nim jeszcze resztki ambicji.

Jaworski wzburzony wrócił na górę. Heluśka była już prawie ubrana i szykowała się do zejścia, zaciekawiona, kto też z warszawskich znajomych przyszedł ich odwiedzić.

— Ładny znajomy!—roześmiał się Jaworski. I opowiedział żonie o co chodziło.

Heluśka miała lepsze serce od męża.

— Czemuś mu nie dał paru franków?—odezwała się ze współczuciem. Może naprawdę biedny.

— Oszust—zadecydował krótko Jaworski.

I na tem rozmowa się skończyła. Daleko ciekawszym tematem było to, na jaki numer stawiać nazajutrz w kasynie. Po przeglądzie najrozmaitszych cyfr wybór Heluśki padł na dziewiątkę. Jaworski zgodził się na dziewiątkę bez zastrzeżeń. Przemawiał za nią przedewszystkiem ten wzgląd, że ślub ich odbył się dziewiątego.

Nazajutrz od samego rana Heluśka zaciągnęła męża do

kasyna. Byli bodaj że pierwszymi gośćmi, jacy weszli tego dnia do domu gry. Zajęli miejsca przy dwu sąsiednich stołach i postavili po dwadzieścia franków na dziewiątkę. Tłoku nie było i Heluska mogła się swobodnie procesowi gry przyglądać. Nie była jeszcze z mechanizmem rulety obznajmiona i nie umiała się zorientować, czy wygrała, czy przegrała. Z lekkim zdenerwowaniem w głosie zwróciła się do krupiera, który obok niej siedział.

— Wygrałam?

Krupier uśmiechnął się uprzejmie.

— Przegrała pani — odparł silnym włoskim akcentem. I na potwierdzenie swych słów zgarnął grabkami złotą monetę Heluski.

Jaworski przegrał również.

— Nie mamy szczęścia — zauważyła melancholijnie Heluska.

— Do trzech razy trzeba próbować — odparł Jaworski. Heluska zawahała się chwilę.

— Nie, drugi raz spróbujemy jutro.

— Dlaczego nie od razu?

— Nie... nie... jutro.

Potem przyznała się mężowi, że bała się drugi raz stawiać poprostu, aby nie przegrać. Traktowała to trochę przesadnie. I przez cały dzień znać było na niej lekkie zdenerwowanie.. Nurtowała ją najwidoczniej obawa przed złą wróżbą. Nazajutrz, kiedy znów szli do kasyna, aby powtórnie spróbować szczęścia, Heluska była tak zdenerwowana, że Jaworskiego już to zaniepokoiło. Z chęcią, gdyby to tylko było możliwe, przepłaciłby krupiera, aby tylko Heluska wygrała.

— Patrz, patrz! — krzyknęła nagle Heluska.

— Jaworski odwrócił się szybko. Między stolikami przed „Cafe de Paris“ kręcił się ów podejrzany młodzieniec, który przychodził do Jaworskiego po żebranie.

— Poluje na jakąś ofiarę — zauważył zgryźliwie Jaworski.

— Czy on ci nie mówił, jak się nazywa?

— Mówił mi jakieś krótkie nazwisko, ale zapomniałem.

Zdaje się Janstein...

— To żyd... Nie wygląda.

— Nie, nie Janstein, tylko Jan Stein, albo coś w tym rodzaju...

— Straszne to, jak człowiek tak nisko upadnie — zauważyła Heluska. Było to nawet tem przykrzejsze, że młodzieniec ów skądinąd bardzo sympatycznie wyglądał. Był przystojny, ubranie miał zniszczone, ale od dobrego krawca, z ruchów znać było, że musiał pochodzić z jakiejś lepszej rodziny. Spostrzegłszy, że Jaworscy mu się przyglądali, odwrócił się, jakby zawstydzony. Był to także rys sympatyczny.

— Trzymamy się dziewiątki? — zapytał Jaworski Heluski, gdy weszli do kasyna.

— Tylko. To data naszego ślubu, nasza cyfra.

Znów zasiedli przy dwu sąsiednich stołach. Jaworski postawił dwadzieścia franków na dziewiątkę i z niepokojem począł obserwować żonę. Nagle zerwała się z krzesła i podbiegła ku niemu rozpromieniona.

— Wygrałam! — krzyknęła radośnie, podając mężowi garść złota i trochę banknotów.

Okazało się, że i Jaworski wygrał. Było to zadziwiające szczęście. Nie sama wygrana ucieszyła ich jednak, lecz ta zgodność, z jaką obojgu szczęście dopisało.

— Tak właśnie być powinno... jak razem, to razem — śmiała się Heluska.

Powodzenie zachęciło ich do dalszej gry. Nie mieli nic lepszego do roboty. Zdarza się tak bardzo często, że ktoś za pierwszym i drugim rzutem wygrywa, to go wciąga i następnie traci wszystko do ostatniego grosza. Ale względem Jaworskich szczęście zachowywało się z wyjątkową dżentelmeneryą, jakgdyby uwzględniając ich miodowy miesiąc i przesądne usposobienie Heluski, która nie lubiała przegrywać. Po dwóch godzinach Jaworscy wynieśli z kasyna kilkanaście tysięcy franków.

— Gdyby tak codziennie po tygodniu bylibyśmy milionerami — śmiała się Heluska.

Jaworskiego zaniepokoił zapal żony. Obawiał się, aby

Heluśka nie wciągnęła się w grę. Ona odczuła intuicyjnie tę jego obawę. I uspokoiła go ze śmiechem, tłumacząc mu, że jest przecież na tyle rozsądna, aby się nie unosić. Stało na tem, ponieważ gra sama przez się była zabawna, że będą grali, póki im na to starczy pieniędzy wygranych.

Kasyno weszło w program ich codziennych rozrywek. Ale po pierwszym dniu szczęśliwym przyszły dwa dni chude.



Kilkanaście tysięcy franków stopniały do skromnych dwóch tysięcy. Na trzeci dzień, kiedy, jak zwykle, szli po śniadaniu do kasyna, Heluśka postanowiła:

— Jeśli dziś tę resztę przegramy, to już będzie koniec. I dodała jeszcze:

— Widzisz, widzisz, ten znów tu się kręci.

Wskazała mężowi młodzieńca, który go napastował w hotelu.

Tego dnia szczęście znów ich wzięło w troskliwą opiekę. Znów wygrali kilkanaście tysięcy franków. I przez parę dni dopisywało im stale tak, że w końcu suma wygranej urosła do znacznych rozmiarów. Można było to już traktować poważnie, jak spadek. Potem przyszedł zły dzień, a potem na zmianę: jednego dnia wygrywali z wyjątkowem szczęściem, a nazajutrz coś się zaczynało i—ani rusz!—Każda stawka ich zawodziła.

Po paru dniach Heluśka odezwała się do męża:

— Wiesz ty, co ja zauważyłam?

— No?

— Ile razy idąc do kasyna, spotykamy tego jakiegoś biedaka, który przychodził do ciebie po prośbie, zawsze wygrywamy.

Jaworski roześmiał się wesoło.

— Wiesz i ja to zauważyłem.

— A czemuś mi nie mówił?

— Trudno przypuścić, aby to mogło mieć jakikolwiek związek.

— A jednak widocznie ma. Przekonamy się jutro.

— Mam nadzieję, że go spotkamy, bo on się tu wciąż kręci...

Nazajutrz jednak nie spotkali go wyjątkowo i zgrali się jaknajfatalniej. Było to dziwne, niewytłumaczone, ale fakt pozostawał faktem. Rzuciło to na trzeźwe i realne poglądy, jakie mieli oboje, nowe mistyczne światło.

— Może wyjechał?—zaniepokoiła się Heluśka.

— Wątpię—odparł Jaworski, rozglądając się dokoła.

Młodzieniec, o którym Jaworscy wiedzieli tylko, że miał krótkie nazwisko i że się wiecznie kręcił dokoła kasyna, gdzieś znikł. Mimo że już naumyślnie starali się go wypatrywać, przez dwa dni nigdzie go spotkać nie mogli. I jakby na poparcie najzupełniej nieprawdopodobnego przypuszczenia, przez te dwa dni znów fatalnie nie wiodło im się w grze. Heluśka straciła humor.

— Szkoda, żeś mu wtedy nie dał—odezwała się z wyrzutem do męża.

— Jak go spotkam, to mu dam—odparł Jaworski.

Widocznie wywiązywał się jakiś prąd telepatyczny między mężem Heluśki a zwymyślanym przez niego żebrakiem, bo ledwo Jaworski obietnicę swoją wymówił, Heluśka krzyknęła radośnie.

— Patrz, patrz... Jest!

— Gdzie?...

— Tam, na drugim końcu placu. Ile mu dasz?

— Czy ja wiem, sto franków...

— Daj mu tysiąc... Wygraliśmy przeszło sto tysięcy, a on nam naprawdę przyniósł szczęście.

Skręcili i skierowali się w stronę melancholijnego młodzieńca, który wystawał samotnie przed hotelem. On jednak ledwo ich spostrzegł, zaraz zawrócił i odszedł. Najwidoczniej poznał Jaworskiego i wstyd mu było spotkania. Jaworscy przyspieszyli kroku.

— Zawołaj na niego!—niecierpliwiła się Heluśka.

— Panie, panie!—krzyknął Jaworski.

Ale głos jego zginął w gwarze ulicznym. Młodzieniec zaś coraz bardziej przyspieszał kroku. Jaworski zostawił żonę i pędem puścił się za uciekającym.

— Panie!—krzyknął, dopadając go wreszcie zasapany.

— Czem mogę panu służyć?—wycodził młody człowiek, mierząc Jaworskiego obrażonym spojrzeniem.

Jaworski tak się zmieszał, jakgdyby to on prosił o wsparcie.

— Przed paru dniami pan się zwracał do mnie o pożyczkę... Ja byłem wówczas zdenerwowany... Pozwoli pan sobie służyć—mruknął, wtykając nieznanemu, na którego twarzy odbił się wyraz najwyższego zdumienia, tysiąc frankowy bilet w rękę...

I odszedł szybko, aby uniknąć podziękowań.

Młodzieniec dogonił go jednak.

— Nie wiem, doprawdy, jak mam panu podziękować... —odezwał się wzruszonym głosem. To mi pozwoli wrócić do kraju.

— Ale po co wracać!—przerwał mu Jaworski — niech pan ze dwa tygodnie posiedzi tu jeszcze. U nas teraz taki fatalny klimat...

Pan Jan Stein wysłuchał dobrej rady. W parę dni potem wprowadził się do hotelu, w którym mieszkali Jaworscy. Dzięki zapomodze, jaką otrzymał od Jaworskiego, mógł otworzyć sobie wstęp do kasyna i odegrał się. Okazało się zresztą, że był on bardzo przyzwoitym chłopcem z dobrej rodziny i tylko zbytnia lekkomyślność doprowadziła go do rozpaczliwej sytuacji. Lekcja wyszła jednak mu na dobre, bo po odegraniu się, zaprzysiągł sobie, że więcej nie będzie grał.

Rozstanie było czule. Jaworscy odprowadzili pana Jana Steina na kolej. Wszyscy byli wzruszeni, ale najbardziej Stein. Kiedy całował panią Heluśkę na pożegnanie w rękę lzy świeciły mu się w oczach.

— Doprawdy... doprawdy... — mówił przerywanym od rozrzewnienia głosem—ja nie wiem, jak mam państwu dziękować...

Jaworski przerwał mu z serdeczną rubasnością.

— Ale co tam o tem gadać panie... Od tego jest młodość, aby robić głupstwa... Dzięki Bogu, że pan...

Nie dokończył zdania. Chciał powiedzieć, „że pan na nas trafił“. Było to słuszne, ale przyszło mu na myśl, że zrobienie uwagi tego rodzaju należało do Steina.

Stein ją też zrobił.

— Dzięki Bogu, że na państwa trafił! — krzyknął radośnie.

— Niech pan odwiedzi nas w Warszawie — odparł Jaworski.

— Bardzo prosimy — dodała pani Heluśka z miłym uśmiechem.

— Wiesz co mnie najbardziej cieszy z całej naszej podróży poślubnej, odezwała się Heluśka, gdy po odejściu pociągu powracali do hotelu.

— No?

— To, żeśmy człowieka wyciągnęli z upadku.

— Udał nam się „młodzieniec o krótkim nazwisku“ — roześmiał się Jaworski. To żartobliwe przezwisko przyłgnęło do Steina. Mówiąc o nim, Jaworscy stale go tak nazywali.

— Powinien nam być do śmierci wdzięczny.

— I,—mruknął Jaworski, którego umysł po za chwilami wzruszeń i roztkliwień był raczej do sceptycyzmu skłonny—nie tacy ludzie skłonni do wdzięczności...

Ale musiał przyznać, że się mylił. W Warszawie Stein czekał na Jaworskich na dworcu kolejowym z olbrzymim bukietem kwiatów. Nie zawiadamiali go o przyjeździe. Wyszło na jaw, że Stein od pewnego czasu chodził na wszystkie pociągi z kwiatami, byle tylko mózdz dobroczyńców swoich powitać.

To już rozbroiło Jaworskiego ostatecznie. Wyściskał Steina, jak rodzzonego brata.

— Zacny z pana chłop. Przyjdź pan do nas pojutrze na obiad.

Stein skorzystał z zaproszenia punktualnie. Owo „pojutrze“ wypadło w niedzielę. Jaworskim tak mile upłynął czas w towarzystwie Steina, że zaprosili go znów na następną niedzielę. Potem weszło to w zwyczaj: co niedzielę i święto Stein przychodził na obiady i spędzał popołudnia u Jaworskich. Potem zaczął przychodzić w dni powszednie. Jaworski dzięki swoim stosunkom, wynalazł mu bardzo korzystną posadę. Ale Stein już z niej nie mógł korzystać niestety, gdyż właśnie w tym czasie uciekł z panią Heluską z Warszawy.

KURACYA.

Do dzisiejszego dnia powtarzam, że Tolo był jednym z najmiłszych ludzi, jakich znałem. Szczerze mi żał, że się tak fatalnie zmarnował, ale któż mógł być przewidzieć, że nasze najserdeczniejsze przyjacielskie intencje odniosą wręcz odmienny skutek. Dziś o Tolu można mówić, jak o umarłym. Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Może umarł naprawdę, może siedzi gdzie w więzieniu, a może jest znów przyzwoitym człowiekiem, w innych warunkach i wśród innych ludzi, którzy nie znają jego przeszłości. Jeżeli żyje, pragnąłbym szczerze, aby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwem.

Od czasu, gdy Tolo kręcił się po Warszawie, minęło już jakieś dziesięć lat. Był on urzędnikiem w pewnej prywatnej instytucji handlowej, ale garnał się do towarzystwa artystów i literatów. W tem środowisku go poznałem. Pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł, nie było sympatyczne. Zrażał mię do siebie tem, że odrazu w pięć minut po zawarciu znajomości zaczął mi opowiadać o swoim arystokratyzmem pochodzeniu. Przytem od czasu do czasu wtrącał do rozmowy francuskie zdania, które wymawiał z błędami i jak najfatalniejszym akcentem, mimo, że jak mnie zapewniał i to z nutą pewnego rodzaju zgorszenia w głosie, w dzieciństwie, do któregoś tam roku życia, mówił w domu tylko po francusku. Ubrany był z przesadną starannością, ruchy miał wystudiowane i sztuczne i wszystko to nadawało jego postaci

silnie groteskowy charakter. Chwilami słuchając jego wynurzeń, musiałem zagryzać usta, żeby nie parsknąć mu śmiechem w twarz. Owego wieczoru Tolo wziął się na mnie. Gdyśmy wyszli z kawiarni, odprowadził mnie pod bramę domu i przez całą drogę usta nie zamykały mu się ani na chwilę. Wciąż opowiadał mi historię swojej rodziny, a ponieważ, choć może nietyle bezpośrednio, co przez koligacje, splatała się ona wciąż z dziejami kraju, więc był to jakby wykład historii Polski w zarysie. I jedno musiałem Tolowi w duchu przyznać, że mimo całą swoją jaskrawą blagę, historię tę znał doskonale. Nie przekonało mnie to do niego jednak i gdy przy pożegnaniu wyraził nadzieję, że „odtąd będziemy widywali się częściej” moje zamiary co do przyszłego ukształtowania stosunków były zgoła inne.

Po tem pierwszym zetknięciu nie widzieliśmy się przez parę tygodni. Zapomniałem, że jakiś Tolo w Warszawie istnieje, gdy — naraz dowiedziałem się o nim rzeczy, które przejęły mnie bezdennym podziwem. Mianowicie jeden z młodych malarzy, należących do tej samej artystycznej paczki, w której obracał się i Tolo, ciężko zachorował. Na kurację potrzeba było pieniędzy. Ma się rozumieć nie miał ich ani chory, ani nikt ze szczerze oddanych mu przyjaciół. I kiepsko by się zapewne cała ta historia skończyła, gdyby nie Tolo. Miał on jakieś uskładane oszczędności: kilkaset rubli i bez wahania oddał je choremu artyście. Było to dla mnie sensacyjną wprost rewelacją. Po pierwszej naszej rozmowie i nieproszonych wynurzeniach Tola, którymi mnie na początek znajomości uraczył, począłem go uważać za zwykłego chodzika, polującego po kawiarniach na pożyczki. Tymczasem było to podejrzenie najzupełniej fałszywe.

Gdy, zainteresowawszy się Tolem, począłem się o niego zapytać, którzy bliżej go znali, wypytywać, dowiedziałem się, że był on pod względem pieniężnym nieposzlakowany uczciwym. Wogóle wszyscy mówili o nim dobrze. Był bardzo uczynny i co ważniejsze, gdy mógł przyjąć komuś z pomocą, nie czekał nigdy, aby go o nią proszono. Jeśli co można mu było zarzucić, to tylko owe wieczne kłamstwa

o arystokratycznych stosunkach i pochodzeniu, któremi zasnudzał wszystkich.

W parę dni potem spotkałem Tola na ulicy. Zbliżyłem się ku niemu pierwszy i odezwałem się, ściskając go mocno za rękę.

— Zaimponował mi pan.

Tolo spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Ja, czem? — wycedził przez zęby swoim sztucznym, niezdolnie zmanierowanym głosem. Wogóle uśmiechał się i mówił jak prowincjonalny aktor, grający w melodramacie rolę margrabiego.

— Jakto czem? — Przecież żeby nie pan, to tamtego biedaka jużby dawno dyabli wzięli...

— Proszę pana — odparł Tolo (miał również zwyczaj wymawiania litery *r* przez nos, o ile nie zapominał o tem w zapale), kto jest jak ja spokrewniony przez matkę z Medyceuszami, ten musi mieć słabość do artystów.

I w tej chwili, nie dając mi dojść do słowa, rozpoczął wykład o swoich koligacjach z panującymi rodami. Mówił tak płynnie i z takim zasobem erudycji, że w końcu gotów bym prawie byłem uwierzyć. Ostatecznie tę sprawiedliwość leżało mu oddać, że jeśli kłamał, to do kłamstw swoich przygotowywał się bardzo starannie.

Od tego czasu spotykałem Tola częściej. Przyzwyczaiłem się do jego kłamstw i do jego francuszczyzny i polubiłem go w końcu. W gruncie rzeczy był to bardzo poczciwy chłopiec. Wyzyskiwano go na wszystkie strony. Tolo się bynajmniej od tego nie bronił, gdyż gotowość do usług uważał za jedną z cech swej arystokratycznej wyższości. W owych rozmowach Tola wyrazem powtarzał się co każde zdanie niemal. Tworzyło to nawet dość komiczny kontrast, gdyż on sam był zaprzeczeniem wszelkiej raso-wości.

Ale wszystko to, co Tolo mówił, należało brać za dobrą monetę, gdyż maniackich swoich kłamstw potrafił z niesłychaną energią bronić. Raz nawet miał pojedynek z tego powodu, który ostatecznie odniósł na szczęście jakąś bardzo lekką ranę. Wreszcie poszło o to, że ktoś pozwolił sobie w towarzystwie



podać w wątpliwość jego arystokratyczne koligacje. Tolo wyzwał go natychmiast i mimo wszelkie wysiłki przyjaciół, aby sprawę polubownie załatwić, nie chciał ustąpić. Pod tym względem był nieprzejednany.

Malarz, którym się Tolo zaopiekował, wyszperał skądś jego pochodzenie. I dowiedzieliśmy się zabawnej historii. Tolo „spokrewniony z Medyceuszami“ był synem warszawskiego stróża. Rodowe majątki jego rodziców, o których tak obszernie lubił nieraz opowiadać, mieściły się w ciasnych granicach jakiejś izdebki pod schodami. Skąd się w Tolu wzięła jego arystokratyczna manja, nikt nie umiał odgadnąć. W każdym razie należało podziwiać niesłychane zasoby energii, jakie w to wkładał, aby kłamstwa swe upozorować. Z imponującą wytrwałością kształcił się po nocach, aby mózgiem tylko podtrzymać aureolę starannego domowego wychowania, jaką się lubił otaczać. Cała jego dżentelmenerya płynęła również z tego źródła. Tolo wciąż powtarzał, że „rasa wkładała na niego obowiązki“. I w każdym odruchu starał się być dżentelmenem, aby tylko w jego rasę uwierzono.

W jakiś czas potem Tolo sprawił nam nową niespodziankę. Napisał nowelkę. Okazało się, że miał talent i przy pracy, do której nie brakło mu zresztą zapału, mógł zająć w literaturze stanowisko. Zaimponowało nam to, równocześnie tembardziej poczęły nas drażnić jego śmieszności. Przykro nam było, że człowiek tak przyzwoity i zdolny ośmieszał się na każdym kroku najgłupszego rodzaju snobizmem. I postanowiliśmy go z tej manii wyleczyć.

Ktoś rzucił zdanie, że leczyć najlepiej jest radykałami. Zgodziliśmy się na to wszyscy. Uchwalono, aby w gronie przyjaciół zdemaskować publicznie Tola, przekonać go, że najdokładniej zdajemy sobie z jego kłamstw sprawę i że jeśli go cenimy, to nie dla jakichś urojonych pokrewieństw z arystokracją, ale dla osobistych jego zalet i zdolności.

— Zobaczcie — obiecywaliśmy sobie, co to będzie z idealny chłop, gdy go się z tej manji wyleczy.

Bo rzeczywiście wieczne hymny pochwalne Tola cześć arystokracji i rasy umieliśmy już wszyscy na p

i kością w gardle zaczynało nam to stawać. Tembardziej, że kłamstwa, któremi nas zamęczał, coraz bardziej stawały się jaskrawe i ordynarne. Tolo z fanatycznym zapałem pracował wciąż nad swoim wykształceniem, ale książki, które pochłaniał, nie rozjaśniały mu jakoś w głowie. Wprost przeciwnie nawet, zamiast otrząsać się ze swoich urojeń, brnął w nie coraz beznadziejniej. Niepodobna już było bredni jego słuchać.

Kurację postanowiliśmy przeprowadzić szybko.

Urządzono koleżeńskie zebranie i gdy Tolo się zjawił i po paru słowach rozmowy skreślił na swój ulubiony temat — jeden z nas, któremu specjalnie powierzono tę misję, przerwał mu uroczystym tonem:

— Drogi Tolu!

Tolo umilkł i spojrzał wyczekująco z wytwornym uśmiechem.

Wykonawcy koleżeńskiego wyroku nie szła jakoś jego oracya. Po „drogim Tolu“ zapanowała cisza. To spotęgowało uroczysty nastrój chwili. Mówca chrząknął, ktoś z końca pokoju mruknął mu zachętlive:

— No, odważnie.

— Wiesz, jak cię kochamy wszyscy, no i chcieliśmy ci złożyć dowód przyjaźni. Co tu długo gadać (porzuciwszy patetyczne formy, mówca odrazu stał się rezolutniejszym) jesteś najmiłszym człowiekiem pod słońcem, tylko niepotrzebnie zawracasz nam głowy swoim arystokratycznym pochodzeniem.

Tolo zbladł i zerwał się gwałtownie z krzesła.

— Co takiego?! — krzyknął zduszonym od wściekłości głosem.

— Wiemy przecież...

— Milczeć! — wrzasnął Tolo, chwytając za krzesło takim ruchem, jakgdyby chciał niem cisnąć.

Jego bezczelność oburzyła już nas poprostu. Niedosć, że nas wystawiał na głupców, każąc nam wierzyć w niemożliwe brednie, ale oburzał się jeszcze, gdyśmy mu chcieli serdecznie, po koleżeńsku zwrócić uwagę, że się sam przedewszystkiem okrywał śmiesznością.

Wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

— Wiemy przecież... Twój ojciec był stróżem... Co za głupi snobizm, żeby się podszywać pod jakieś arystokratyczne pochodzenie!

Ale gwar głosów umilkł nagle. Tolo stał wyprostowany, nieruchomy, błądy jak trup... duże łzy spływały mu po policzkach. Tak rozpaczliwie wyglądał w tej chwili, że to nas przestraszyło.

Ktoś zaczął serdeczniejszym tonem.

— Tolu, przecież to śmieszne jest, żeby takiemu człowiekowi, jak ty, imponowały tego rodzaju głupstwa. Zmiluj że się... Jeśli ci to mówimy, to tylko przez sympatyę dla ciebie. Poproście nie chcemy, żebyś się okrywał śmiesznością...

Znów zapanowała cisza. Tolo stał błądy z przymkniętymi oczami. Po chwili jakiś rozpaczliwy uśmiech wykrzywił mu usta.

— Jestem cham — syknął przez zaciśnięte zęby. Nie wiem, czy ze wzruszenia, czy przez przyzwyczajenie, ale wypowiedział to takim samym sztucznym zmanierowanym głosem, do jakiego się zmuszał dla zaznaczenia swej rasowości.

Od tego czasu zerwał z nami wszelkie stosunki. Na próżno staraliśmy się przemówić mu do rozumu, potem ułagodzić, wreszcie przeprosić. Wszelkie próby pogodzenia się spełzały na niczem.

Tolo był nieugięty.

Zdaleka widywaliśmy go czasem na mieście. I wszyscy stwierdzali, że zaszła w nim ogromna zmiana. Chodził zaniedbany, coraz brudniejszy. Gdy spotkał któregoś z dawnych przyjaciół, miał zwyczaj mierzyć go wyzywającym drwiącym spojrzeniem.

Żałowaliśmy serdecznie tego, co się stało, ale sposobu naprawienia złego nie było.

I wreszcie gruchnęła sensacyjna nowina. Tolo okraść instytucję, w której pracował i uciekł zagranicę.

Od tej pory niewiadomo, co się z nim dzieje.

WYBRANIEC LOSU.

Rzeźbiarz Mizerski siedział zamyślony na ławce w Sa-skim ogrodzie. Najmniej spostrzegawczy przechodzień mógł od razu zauważyć, że go trapiła jakaś ciężka zgryzota. Przedewszystkiem po deszczu, który przez całą noc padał, ławki były mokre, nie nadawały się więc do wypoczynku. Ale bardziej bezpośrednim dowodem stanu ducha zamyślonego rzeźbiarza był wyraz jego twarzy. Człowiek, który miał tak tępe, przygasłe spojrzenie i tak kurczowo zaciśnięte usta, nie mógł myśleć już nie tylko o obojętnych, ale nawet o łagodnie przykrych rzeczach.

Trzeba powiedzieć na pochwałę ludzkości, że przechodnie, którzy mijają na ulicach ludzi o nieszczęśliwym wyglądzie, niejednokrotnie nie tylko współczują im w duszy, ale nawet starają się domyślać przyczyn ich nieszczęść. Są materyaliści, którym od razu na myśl przychodzi nędza, głód, brak posady; inni, o wyższym poziomie wyobrażeń, domyślają się zawiedzionych ambicyi, nieszczęśliwej miłości, melancholii. Rzeźbiarz Mizerski mógł obie kategorie zadowolić: zawiodły go ambicie i cierpiał najstraszniejszą nędzę. Ale jedno i drugie mogło wydawać mu się głupstwem wobec ostatniego problemu, który go przejmował beznadziejną rozpaczą — mianowicie chciał odebrać sobie życie i nie miał pieniędzy na kupno rewolweru. O ile śmierć może być

wyjściem, z każdego położenia, to to było jedyne, absolutne położenie bez wyjścia.

Tkwiała w nim też bolesna ironia taka, na jaką z pośród zdolnych satyryków tylko życie może sobie pozwolić. Przyczyną bankructwa życiowego Mizerskiego, który miał niepospolity talent i wiele szczerego zapału do pracy był wieczny brak materiału rzeźbiarskiego. Z chwilą, gdy zżarty przez nędzę, postanowił beznadziejne rachunki z życiem zakończyć, stawał mu znów na przeszkodzie brak materiału samobójczego. Można sobie wprawdzie i za dać życie odebrać, wyskakując z okna, albo rzucając się od pociąg, prawie żadnego nakładu nie wymaga też powieszenie, bo sznurek od biedy na jakimś śmietniku zawsze znaleźć można, ale Mizerskiemu chodziło nie tylko o odebranie sobie życia, ale i o rodzaj śmierci. Upór tego rodzaju może razić przeciętną logikę, ale nie należy zapominać, że natury artystyczne bywają skomplikowane. Mizerski chciał zginąć od kuli jak żołnierz na polu bitwy — inne rodzaje śmierci raziły go swoją szpetotą. Od czterech dni nic już w ustach nie miał i od rana do późnej nocy wałęsał się po mieście z jedną rozpaczliwą myślą w mózgu: skąd zdobyć pieniądze na rewolwer. Niestety, nawet w gorączkowych halucynacjach wyobraźni nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Wszystko, co mógł sprzedać, dawno już posprzedawał, pozostawało mu tylko jedno jedyne ubranie, ale ono nie przedstawiało najmniejszej wartości, a przedewszystkiem nie mógł go się pozbywać, gdyż trudno jest w listopadowy dzień wchodzić do sklepu z bronią nago. Ktoś inny na jego miejscu uległby napewno pokusom kompromisu i powiesił się, albo skoczył z dachu na bruk, rzeźbiarz jednak był nieugięty, powiedział sobie, że zginie od kuli i chciał postawić na swoim.

Zaciekłość ta dodawała mu nawet sił do znoszenia głodu. I zarazem streszczała się w niej cała tragedia jego życia. Mogło się zdawać napozór, że natura nie poskąpiła Mizerskiemu żadnego ze swych darów: był niepospolicie zdolny, inteligentny, miły, sympatyczny, przystojny, silny, dobrze zbudowany, zdrow, wytrzymały, zahartowany, skromny, nie-

poszlakowanie uczciwy, umiał panować nad złemi namiętnościami, głęboko kochać i jeszcze głębiej odczuwać, ale wszystko to paraliżowała ta straszna choroba ducha, jaką jest



moralna sztywność karku. I choroba ta tak była w nim zakorzeniona, że nawet jedyne skuteczny system kuracji głodowej nie mógł jej zwalczyć. Skutkiem tej wady psychofi-

zycznej, Mizerski nie potrafił się kłaniać, ani wystawać po przedpokojach, ani zaskarbiać łask niemych protektorów, a ponieważ kultura pięknego charakteru wymaga pewnych środków pieniężnych, których od dzieciństwa nie posiadał, więc życie jego było jednym pasmem czarnej, nieprzerwanej nędzy.

* * *

Był zimny listopadowy dzień, niebo pokryte wielkimi chmurami, z których, wbrew przysłowiu, lunął nagle rześisty deszcz. To spłoszyło Mizerskiego z ławki. Wyszedł z ogrodu i ciężkim, apatycznym krokiem powłókł się przed siebie, machinalnie kierując się w stronę mieszkania. Jakkolwiek dziwnem się to może zdawać, rzeźbiarz Mizerski posiadał mieszkanie, dość obszerną nawet pracownię, z której go nie wyrzucano, ponieważ gospodarz domu był bogatym hipochondrykiem i domyślał się, że nie pozbawiając rzeźbiarza dachu nad głową, przedłuży w ten sposób jego egzystencję. Powróciwszy do domu, Mizerski rzucił się na posłanie i przymknął oczy. Oczywiście łóżka już dawno nie miał, ale po jednym z przyjaciół, młodym poecie, który umarł przedwcześnie, zostało mu w spadku kilkadziesiąt egzemplarzy „Poezyi”. Mizerski miał się zająć rozprzedażą i osiągnięte stąd zyski przeznaczyć na marmur, potrzebny do wykucia dzieła, które mu się paliło w duszy. Była to ostatnia wola jego przyjaciela. Ale młody poeta tak wyprzedził swój czas, że o tem, aby „Poezye” jego mogły być znaleźć nabywców przed upływem kilkudziesięciu lat, trudno było marzyć. Na makulaturę Mizerski nie chciał ich sprzedać przez zrozumiały pietyzm, rozłożył je więc umiejętnie na podłodze i nakrywszy jakimś podartym kocem, pozostałością lepszych czasów, urządził sobie posłanie.

Z gorączki i wycieńczenia był już nawpół nieprzytomny. W pracowni mrok zapadał, po szybach dzwonił melancholijny, listopadowy deszcz. Leżąc na wznak, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, już jakby w trumnie, Mizerski przebiegał myślą całe swoje życie... Jedno pasmo udręczeń, upokorzeń i zawodów, mimo, że miał przecież i talent i szczerą zapał

do pracy i święte ognie natchnienia w duszy. I nagle zdjęła go niewypowiedziana żalność. Już nie miał sił, aby się buntować i nienawidzieć. Dwie ciężkie łzy spłynęły mu z oczu na rozpalone policzki.

Plakał nad swoim osamotnieniem. W tej ponurej, przedśmiertnej chwili zdjęła go nagle straszna tęsknota za zmarłym przyjacielem. Zdawało mu się, że gdyby poeta był żył, to i jego własne życie ułożyłoby się inaczej. Łzy coraz obficie płynęły mu z oczu, a wspomnienia minionych chwil, które razem z poetą przeżywali, pochłonięły go tak dalece, że po chwili zapomniał o swej nędzy i w najbezinteresowniejszym porywie uczucia opłakiwał już tylko stratę przyjaciela.

I nagle stało się coś dziwnego.

Łagodna, niebieskawa jasność nappełniła pracownię. Mizerski spostrzegł, że poeta siedział obok niego na krześle. Wydało mu się to zupełnie naturalnem i nie zastanawiał się nad tem, skąd się w pracowni wzięło krzesło. Przyjaciel przyglądał mu się tklivem spojrzeniem, potem pochylając się nad nim i ujmując go za rękę, odezwał się cichym głosem:

— Wiem, że ci ciężko, ale...

Odwrócił się i wskazując oczami na szafę w ścianie, w której zresztą Mizerski nic nie przechowywał, dodał z pełnym niewypowiedzianego wdzięku uśmiechem:

— Tam odmiana twojego losu...

Mizerski zerwał się z posłania. W pracowni znowu było ciemno, po szybach dzwonił monotennie deszcz. Rzeźbiarz pojął, iż padł ofiarą gorączkowej halucynacji. Mimo to podbiegł do szafy w ścianie, szarpnął drzwi i... okrzyk zdumienia i przerażenia wyrwał mu się nagle z piersi.

Na półce leżało zawiniątko, którego *przedtem* nie było.

* * *

Trzeba było takiego zobojętnienia na wszystko, do jakiego doszedł rzeźbiarz, aby w podobnej sytuacji nie runąć bez przytomności na podłogę. Mizerski ograniczył się tylko do febrycznego drżenia, które przez długi czas nie pozwala-

ło mu zapalić ogarka świecy, bo wciąż albo zapalki wylatywały mu z palców, albo świeca. W końcu jednak udało mu się trafić w knot i z zamarłym ze wzruszenia oddechem zbliżył się do szafy.

— To wszystko halucynacya... ja zwaryowałem — mruknął ponurym głosem.

Na półce leżała para mankietów i koszula, świeżo uprane i jeszcze wilgotne. Już sam fakt interwencji sił zaświatowych w życiu był dla rzeźbiarza czemś absolutnie niewytłumaczalnym i niepojętym, ale to, aby duchy zmarłych przyjaciół występowały w praktycznej roli domowych praczek, przekraczało już nawet zakres wszystkiego, w co Mizerski mógł nie wierzyć.

— Zwaryowałem! — jęknął. Koszuli niema, krzesła niema, przyjaciela nie było... Wszystko zdawało mi się tylko...

I chwiejnym krokiem wrócił na posłanie. Straszne wstrząśnienie nerwowe, jakie przeżył, tak go wyczerpało, że zasnął odrazu ciężkim, martwym snem. Zbudziło go gwałtowne kołatanie do drzwi. Miał wrażenie, że musiała już być późna noc.

— Kto tam? — krzyknął zdziwiony.

— Otworzyć! — rozległ się rozkazujący głos w sieni.

Rzeźbiarz zwał się powoli z posłania, ale natrętni goście nie czekali. Nim doszedł do drzwi, drzwi już były wyłamane. Paru policjantów wpadło do pokoju.

— To pomyłka — mruknął Mizerski.

Nic mu nie odpowiedziano. Jakiś wysoki, po cywilnemu ubrany pan, w meloniku na głowie, rzucił się odrazu do szafy w ścianie.

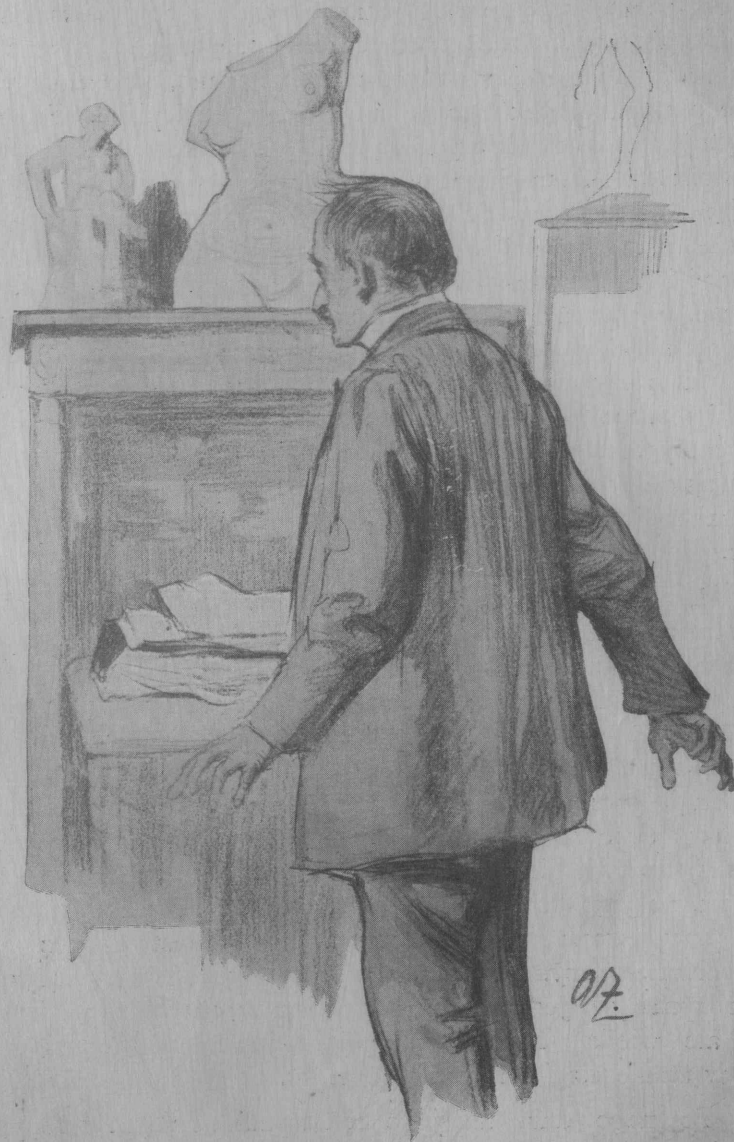
— Jest! — zawołał tryumfującym tonem. Koszulka i mankieci świeżo uprane. Tak pan rzeźbiarz, artysta, a pan lubi czystą bieliznę? — zwrócił się z szyderczym uśmiechem do Mizerskiego. A ślady krwi i tak zostały — ciągnął, oglądając przy świetle kieszonkowej latarni elektrycznej koszulę.

— Związać go! — krzyknął po chwili, wskazując na osłupiałego rzeźbiarza. To niebezpieczny zbrodniarz!

*

*

*



Sprawa Mizerskiego, oskarżonego o zamordowanie w przystępie szału erotycznego siedemdziesięcioletniej staruszki, znanej z nieposzlakowanego życia i uczynków filantropijnych, wywołała w społeczeństwie sensację niesłychaną. Od chwili, w której rzeźbiarza aresztowano, przestano wogóle o czemkolwiek innem mówić, myśleć i pisać. Pewien sprytny fotograf, który wypuścił serye kart pocztowych z portretem Mizerskiego, w ciągu dwóch tygodni dorobił się majątku. Dzieci bawiły się z piastunkami „w Mizerskiego”. A rzeźbiarz siedział tymczasem w więzieniu, odkarmiał się powoli i odzyskiwał wiarę w życie. Adwokat, który miał go bronić, nie wróżył mu wprawdzie nic dobrego. Na rzeźbiarzu ciążyły silne poszlaki. Pominawszy już ową koszulę i mankiety ze źle wypranymi śladami krwi, stwierdzono, że w młodości jeszcze Mizerski niejednokrotnie wspominał o „zabijaniu nudy”. Dowodziło to, że instynkty zbrodnicze kryły się w nim od wczesnego dzieciństwa i opinię publiczną oburzała najbardziej ta hypokryzja, z jaką przez tyle lat potrafił ją taić.

Mizerski wiedział, że był niewinny, i że mógł paść ofiarą strasznej omyłki sądowej. Ale uczucie sławy i przyjaźni ludzkiej osładzało mu wszelkie cierpienia. Bo głodny rzeźbiarz nie domyślał się nawet, ilu miał szczerych przyjaciół i oddanych wielbicieli w społeczeństwie. Codziennie przysyłano mu do więzienia kwiaty, tak że po tygodniu smutna skądinąd i rażąca brakiem umeblowania cela zmieniła się w jakąś egzotyczną cieplarnię. Z pism, których mu ci sami nieznajomi wielbiciele dostarczali, mógł się przekonać z radością, że jego działalność artystyczna nie była bynajmniej, jak przypuszczał w rozgoryczeniu, społeczeństwu nieznana. Przeciwnie, wszystkie pisma zamieszczały codziennie obszernie rozprawy o jego sztuce. Nazywaną ją chorobliwą i krwawą, ale wielką. Było to upajające, jak haszysz i rzeźbiarz żył w stanie ciąglej radosnej ekstazy.

Pewnego dnia do jego celi wpadł adwokat z rozpromienioną miną.

— Niech mi pan podziękuje!—zawołał wesoło od progu.

Mizerski spojrział na niego niespokojnie. Intuicyjnie przeczuł coś niedobrego.

— Uratowałem pana!—ciągnął podniesionym tonem adwokat. Koszula i mankiety szyte są na jakiegoś olbrzyma cztery razy większego od pana. A więc nie mogły do pana należeć. Przyzna pan, że kto inny nie zwróciłby na ten szczegół uwagi. Cóż pan tak zbladł?...

— Nic... nic... mruknął Mizerski.

Błądność jego wynikała ze wzruszenia, ale innego, niż przypuszczał adwokat. Rzeźbiarz uląkł się po prostu rehabilitacyi. Tak był rozczulony serdeczną sympatją społeczeństwa, że uważał za niegodne przyzwoitego człowieka narażać je na rozczarowanie. Po wyjściu adwokata miał ochotę wyrzucić wszystkie kwiaty z celi. Etyczna jego natura nie mogła znieść myśli, że nadużywał czyjejś naiwnej dobrej wiary.

*

*

*

Gdy szczęście zacznie komuś sprzyjać, to już mu sprzyja stale. Z powodu braku dostatecznych dowodów winy sąd uwolnił Mizerskiego, ale opinia publiczna nie potwierdziła wyroku. W dalszym ciągu uważano go za mordercę staruszki. Nazajutrz po wypuszczeniu rzeźbiarza z więzienia zjawił się u niego pewien przedsiębiorca kinematograficzny i zaofiarował mu 100,000 rubli za pozowanie do obrazu p. t. „Erotyczna zbrodnia”. Mizerski jednak z oburzeniem propozycję tę odrzucił. Zbyt był dumny, aby się pospolitować w kinematografach, a na jakieś sto tysięcy rubli łakomić się nie potrzebował, gdyż dzieła jego opłacano na wagę złota.

Dzięki temu, po pewnym czasie mógł sobie kupić wspólną willę z olbrzymim ogrodem. W ogrodzie znajdował się ustronny pawilon, który rzeźbiarz przemienił na pracownię i tam w samotności tworzył dzieła, przyjmowane przez krytykę z bałwochwalczym entuzjazmem. Owóż pewnego razu już pod wieczór, gdy Mizerski był sam w pracowni, zapukano nieśmiało do drzwi. Rzeźbiarz otworzył drzwi i cofnął się niespokojnie. W progu stał jakiś wysoki drab o podejrzanym wyglądzie.

— Czego chcesz?—krzyknął Mizerski, starając się ostrym tonem głosu pokryć zmieszanie.

Drab jednak nie okazywał bynajmniej napastniczych zamiarów. Przeciwnie zachowanie jego było raczej nieśmiałe i pełne pokory. Stał z oczami utkwionymi w ziemię, a na wynędzniałem jego obliczu malowała się jakaś głucha walka wewnętrzna.

— Czego chcesz?...—powtórzył już spokojniej Mizerski, ale przezornie przybliżył się do półki, na której leżał rewolwer.

Tajemniczy przybysz westchnął głęboko i po chwili odezwał się przytłumionym głosem.

— To ja jestem zbrodniarz.

Mizerski zbladł.

— Jaki zbrodniarz?—zapytał, udając, że nie rozumie odezwania się tamtego, choć przeczuwał już o co chodziło.

— To ja zamordowałem staruszkę. I ja podrzuciłem panu tę koszulę i mankiety. Otworzyłem wtedy podrobionym kluczem drzwi i dostałem się do pracowni—mówił zbrodniarz przerywanym płaczliwym głosem. Ale sumienie nie daje mi spokoju.

— Przecież mnie uwolnili!—mruknął opryskliwie Mizerski.

— Tak, ale wszyscy podejrzewają pana o tę zbrodnię. A ja nie mogę znieść myśli, żeby taki człowiek, jak pan, taki artysta...

Rzeźbiarz nie dał mu dokończyć zdania.

— Co chcesz zrobić?—krzyknął drżącym głosem.

— Wyznać publicznie wszystko.

Mizerskiemu pociemniało w oczach. Ale poczucie niebezpieczeństwa dały mu jakiś błyskawiczny dar orientacji. Pracownia stała w ustronnym kącie ogrodu, nikt nie mógł słyszeć huku... Chwycił za rewolwer, wymierzył i zastrzelił natręta jak psa.

BLIZNA.

Gdyby pan Kazimierz posiadał był choć najogólniejsze podstawowe wiadomości z chiromancyi, wytłómaczyłoby mu to wiele rzeczy, napozór zagadkowych w życiu. Przedewszystkiem, pojąłby, dlaczego jemu samemu nic się nigdy nie udawało, mimo, że był uczciwy, pracowity, sumienny i pełen szczerego zapалу do wywalczenia sobie jakiegoś stanowiska w świecie. Pan Kazimierz nie miał wcale tak zwanej linii szczęścia, która decyduje o powodzeniu życiowym. Pod tym względem jego niezbyt starannie utrzymywane dłonie przedstawiały istne curiosum chiromantyczne. Jest to rzecz, która się rzadko zdarza, i pan Kazimierz, nie domyślając się tego wcale, był człowiekiem bardzo ciekawym, wbrew ogólnie ustalonej opinii, że nic ciekawego w sobie nie posiadał. Opinie takie o ludziach zdarza się często słyszeć; są one błędne i banalne, gdyż ludzi nieciekawych na świecie niema. Ktoś nieciekawych choćby dla całego swego społeczeństwa, zawsze może jeszcze być skarbem dla chiromanty, albo grafologa.

Ale pan Kazimierz nauk tajemnych nigdy nie studiował i wszystkie niepowodzenia swoje przypisywał złości ludzkiej. Osobiście dla niego było to może i pomyślniej, gdyż pozwalało mu ludzić się nadzieją, że i jego los zmieni się kiedyś na lepsze. To jedno właściwie trzymało go przy życiu, bo

zresztą tak był zniechęcony i rozgoryczony do wszystkiego, że wciąż przemysliwał o samobójstwie.

Pewnego razu z biura, w którym pracował, posłano go z pieniędzmi do banku. Miał odnieść cztery tysiące rubli. Pieniądze były przeważnie w papierach, drobna tylko część jakieś dwieście, czy trzysta rubli, w złocie. Pan Kazimierz był pedantem. Przed wyjściem z biura starannie powygładzał banknoty i, ułożywszy je równiuteńko, schował do portmonetki, w której nosił własne kapitały. W głębi duszy był nawet trochę zdziwiony, że mu powierzono tak znaczną sumę, gdyż wogóle ludzie nie mieli do niego zaufania, mimo że był najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Ale nie wierzono mu — tak, jak się innym wierzy—bez powodu.

Na ulicy wsiadł do tramwaju, chcąc jaknajszybciej wywiązać się ze swego polecenia i być z powrotem w biurze. Zależało mu na tem, aby ująć sobie zwierzchników pośpiechem. Pan Kazimierz pracował w owym biurze od dwóch tygodni dopiero, udało mu się tam ucześcić na skromnej posadce, po paru miesiącach poszukiwań i przymierania głodem i drżał wciąż o to, aby go nie wyrzucano. Napozór nie było po temu powodu, gdyż starał się jaknajidealniej wywiązywać ze wszystkich swych obowiązków; ale z doświadczenia na własnej skórze wiedział, że jego zapal i szczere oddanie się pracy niewiele mu w karierze życiowej pomagały. Tak się składało zazwyczaj, że gdy pan Kazimierz złapał jakąś posadkę, wnet zjawiał się na nią inny kandydat, krewny, czy protegowany któregoś ze zwierzchników, i pana Kazimierza wyrzucano.

Jadąc tramwajem, pan Kazimierz rozglądał się z nieokreślonym uśmiechem po mieście. Wszystko wydawało mu się jakieś inne i nawet ta ulica, na której wszystkie szyldy mógł być z zamkniętymi oczami recytować po kolei na pamięć, nabierała jakiegoś nowego, nieokreślonego uroku. Chodniki były suche i jasne, aż błyszczące, na ścianach domów leżała ciepła poźłota słońca. Pan Kazimierz stał na tylnej platformie tramwaju wśród kilkunastu osób, które tłoczyły się na niego tak, że nie mógł najmniejszego ruchu

wykonać, ale ta niewygodna pozycja nie psuła mu bynajmniej wrażenia. Był to pierwszy naprawdę wiosenny dzień po długich tygodniach nieustannej szarugi i słoty, i pan Kazimierz dał się porwać urokowi wiosny. To znaczy, że nucił w myśli sentymentalnie lubieżnego walca, którego grywały wszystkie orkiestry po kawiarniach, i od czasu do czasu, wspinając się na palcach, starał się zerknąć do wnętrza wagonu, gdzie wśród arystokracji w przedziale pierwszej klasy siedziała jakaś ponętna i smukła blondynka.

Pan Kazimierz nie mógł nawet dobrze widzieć jej twarzy, ale domyślał się, że musiała być ładna, podobała mu się z postaci i to mu wystarczało. Układał sobie w wyobraźni romantyczną sielankę, romantyczną w swoim pojęciu, to znaczy, zakończoną przykładnem małżeństwem i jaknajbardziej cichem, mieszczańskim szczęściem. Blondyna nie domyślała się zapewne anielskiej roli, jaką wyznaczał jej w swem życiu ów chudy i niepozorny pasażer z tylnej platformy, ale gdyby posiadała była dar przeczuć, to wdzięczność jej osłabiłby napewno fakt (należy przypuścić, że odgadłaby go również), że była już conajmniej tysiączną z rzędu kobietą, której pan Kazimierz składał w ofierze swe nieciekawe losy. Albowiem było to niewinną jego manią, że gdy, pędząc za cudzymi interesami, spotykał jakąś kobietę, która mu się mniej lub więcej podobała, wnet wyobrażał ją sobie, jako swą żonę. I kładł w to wiele szczerego i tkliwego uczucia. Niestety, i takie chwile należały do rzadkich w jego życiu, gdyż marzenie, jak kwiat, wymaga pewnego gruntu i światła w duszy, a dusza pana Kazimierza była zamroczona i zachwaszczona rozgoryczeniem.

Na przystanku pan Kazimierz wysiadł z tramwaju; ktoś krzyknął za nim:

— Mógłbyś pan uważać, do dyabła!

Pan Kazimierz nic na to nie odpowiedział i uszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków, nawpół oszołomiony swoim wiosennem marzeniem. Był to instynktowny wybuch jakichś wydziedziczonych uczuć, pochowanych po tych kątach duszy, gdzie nigdy nie przenika światło doświadczenia życiowego. Ale nagle pan Kazimierz podniósł rękę do piersi

i stało się z nim coś dziwnego. Krew uderzyła mu do twarzy, wyprostował się konwulsyjnym ruchem, odrzucając głowę w tył i mogło się здаwać, że traci przytomność. Jakiś staruszek, który go mijał w tej chwili, zatrzymał się i spojrział wyczekująco, jak gdyby chcąc udzielić mu pomocy. Ale Kazimierz przytomności nie stracił i nie upadł.

To, co się stało, było proste i banalne. Ukradziono mu w tramwaju pulares z pieniędzmi. Cały nawet manewr złodziejski, który przed kwadransiem uszedł jego uwagi, uświadamiał sobie teraz z przeraźliwie dokładną wyrazistością. Było to w owej chwili, kiedy tramwaj zwolnił biegu i dzwonił hałaśliwie na jakiś samochód, który wjechał na szyny. Sąsiad pana Kazimierza, przystojny brunet z kosztownymi pierścionkami na palcach, niby to stracił równowagę i zatoczywszy się potracił pana Kazimierza w piersi. Pan Kazimierz z pokorną grzecznością ludzi przywykłych do tego, że są zawsze winni, powiedział mu nawet: „Przepraszam.“

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ów podejrzany wytworny młodzieniec był złodziejem...

Z pięć minut upłynęło, nim się pan Kazimierz zorientował, że stał wciąż w miejscu, trzymając się ręką za pustą kieszeń; prawdopodobnie musiał się w tej pozycji wydawać przechodniom zabawnym. Westchnął raz jeszcze, zdjął kapelusz, otarł ręką pot z czoła i mruknął spokojnym, obojętnym już prawie głosem:

— Ano, stało się...

Ani przez myśl mu nie przeszło, aby ścigać złodzieja, albo znosić skargę do policyi. Przedewszystkiem gonienie tramwaju na nicby się nie zdało, gdyż złodziej wysiadł pierwszy i w owej chwili był już na drugim końcu miasta. Można było żywić nadzieję, że policyja zdoła go odszukać, ale na to trzeba było wrócić do biura, opowiedzieć o wypadku i, oczywiście, nic innego nie przyszkodziłoby nikomu do głowy, jak tylko to, że pan Kazimierz, ukradłszy powierzone mu pieniądze, w bardzo naiwny sposób stara się od siebie odwrócić podejrzenia. Pan Kazimierz był wogóle człowiekiem słabym i chwiejnym, nigdy na nic nie mógł się odrazu zdecydować — w tym wypadku dopiero poraz pierwszy w życiu

powziął decyzję bez wahania, mianowicie: postanowił się powiesić.

Wrócił do domu i rozpoczął przygotowania do samobójstwa. Z pieniędzy biurowych pozostało mu jeszcze trzysta rubli w złocie. Postanowił zwrócić je instytucji. Owinał złoto starannie w papier, opieczetował lakiem i napisał do szefa list, tłómaczący cały wypadek. Następnie począł się rozglądać po ścianach, jak gdyby poszukując najodpowiedniejszego miejsca do wbicia haka, na którym miał zawisnąć.

— Tu będzie najlepiej — zdecydował — upatrzawszy miejsce w tylnej ścianie, nawprost okna. Zakasał rękawy, wyszukał młotką, który, na szczęście, miał gdzieś między gratami i już miał się zabrać do roboty, gdy nagle z sieni doleciał go wesóły, melodyjny śmiech. Pan Kazimierz znał ten śmiech doskonale. O piętro wyżej na tych samych schodach zajmowała niewielkie mieszkanie młoda kobieta, miła i przystojna, której, jeśli co można było zarzucić, to chyba w najwyższym stopniu lekkomyślny tryb życia.

Kobieta owa nie uniknęła losu wszystkich kobiet, które się panu Kazimierzowi podobały. Poślubił ją w myśli i przeżywał z nią rozkoszne chwile. Spotykając ją w sieni, entuzjastycznymi spojrzeniami wyrażał jej swój zachwyt. Ale na niej nieme te hołdy nie wywierały najmniejszego wrażenia. Przeciwnie, za drugim czy trzecim razem, gdy pan Kazimierz, mijając ją, rzucił jej gorące i wymowne spojrzenie, wzruszyła ramionami, a twarz jej przybrała wyraz tak pełnego pogardy obrzydzenia, że pan Kazimierz w owej chwili miał chęć pod ziemię się zapaść z upokorzenia. Pod ziemię się nie zapadł, ale snuł gorzkie refleksje na temat, co by było, gdyby miał pieniądze i mógł się trochę pokażniej prezentować... Inaczejby sąsiadka na niego patrzała!

I nagle przyszło mu na myśl, że miał pieniądze. Odruch uczciwości, który kazał mu odesłać pozostałe trzysta rubli dyrektorowi biura, wydał mu się śmiesznym i bezsensownym. Skoro jego z zimną krwią okradli, dlaczegoż by on nie miał kogoś okraść? Takie miał do całej ludzkości obrzydzenie, że na dobrej opinii pośmiertnej nic mu nie zależało.

A skoro postanowił już zakończyć rachunki z życiem, dla czegoż nie miał choć raz się zabawić?

Wszystkie te refleksje przesunęły mu się przez mózg błyskawicznie i poraz drugi w życiu pan Kazimierz powziął decyzję odrazu. W chwilę potem pukał do drzwi swej sąsiadki.

Służąca otworzyła mu drzwi. Zmierzywszy pana Kazimierza podejrzliwym spojrzeniem, odezwała się niezachętnie:

— Pan do kogo?

— Do pani.

— Ale co za interes?

— Ważny — odparł pan Kazimierz uroczyście i widocznie udało mu się tonem głosu zasugerować służącą, gdyż po przelotnym wahaniu odparła:

— Proszę do salonu, zaraz pani powiem.

„Pani“ się nie śpieszyła, i p. Kazimierz dość długo czekał w niewielkim saloniku, który był identycznie podobnym do tysiąca innych takich saloników, z czego jednak pan Kazimierz dla braku doświadczenia nie zdawał sobie sprawy. Wreszcie zaszeleściło za drzwiami, i w progu ukazała się właścicielka mieszkania.

— Ach, to pan! — krzyknęła jeszcze mniej zachętnie, niż służąca.

— Pozwól pani, że się przedstawię... — zaczął dystyngowanie pan Kazimierz, ale ona, nie ciekawa widocznie jego nazwiska, przerwała mu opryskliwie:

— Czego pan tu chce?

Ale i pan Kazimierz po raz pierwszy w życiu był pewien siebie.

— Przyszedłem zaprosić panią na obiad.

Młodej kobiecie wydało się to tak zabawne, że parsknęła śmiechem i przez długą chwilę nie mogła się uspokoić. Pan Kazimierz ten upokarzający skądinąd dla niego paroksyzm śmiechu cierpliwie przeczekał. Wreszcie wyciągnął z kieszeni garść złota i począł się niem bawić niedbale. Młoda kobieta spoważniała. Ale po chwili, obrzuciwszy pana

Kazimierza przelotnym spojrzeniem, odezwała się podejrzliwie:

— Skąd pan ma tyle pieniędzy?

— Dostałem spadek — odparł pan Kazimierz wesoło.

— Spadek, naprawdę? Duży?

— Duży!



Gdy pierwsze lody zostały przełamane, rozmowa poszła gładko. Zaprzyjaźniona para postanowiła zjeść obiad w gabinecie pierwszorzędnej restauracji. W dwukonnej dorożce, która ich tam z kawalerską fantazją wiozła, pan Kazimierz był trochę nieswój. W biurze nieobecność jego musiała już zwrócić uwagę, obawiał się, aby nie spotkał kogo z urzędników i aby mu nie popsuto zabawy.

Dopiero w zamkniętym gabinecie odzyskał humor. Odrazu kazał przynieść cały kosz szampana. W ciągu tych

paru krótkich godzin chciał się wybawić za całe życie. Odesłał służącego, aby mu nikt nie przeszkadzał, i sam zabrał się do odkorkowywania butelki. Wziął się jednak do tego z takim zapalem neofity, że stłukł butelkę, której cała zawartość wylała się na suknię jego towarzyszki, pan Kazimierz zaś rozkładał sobie dłoń przez całą długość i to popsuło zabawę. Panna Tola (takie było imię lekkomyślnej przyjaciółki p. Kazimierza) nerwowo nie znosiła widoku krwi i z krzykiem uciekła z gabinetu, nie omieszkawszy jednak przedtem ściągnąć z pana Kazimierza za zniszczoną suknię zapłaty. Pan Kazimierz został sam. Oczywiście, mógł być jeszcze wyszukać mniej wrażliwej na widok krwi towarzyszki i kontynuować zabawę, ale przygoda ta odebrała mu najzupełniej chęć do wszystkiego. Było to jakby ukoronowanie wszystkich jego niepowodzeń życiowych... Zrozpaczony, wybiegł z restauracji z tem już jedynem pragnieniem, aby się jak najprędzej powiesić.

Ta sama dwukonna dorożka, którą przyjechał do restauracji, odwiezła go do domu. Pan Kazimierz pędem wbiegł po schodach na górę, gorączkowo założył stryczek na szyję, przymknął oczy i kopnął krzesło.

W chwilę potem, gdy odzyskał przytomność, leżał na łóżku, a nad nim stało kilku mężczyzn. Jeden z nich, starszek o bardzo sympatycznym wyrazie twarzy, odezwał się z uśmiechem, gdy pan Kazimierz otworzył oczy:

— Ale pan ma szczęście!

.

Pan Kazimierz nie narazie nie rozumiał z tego, co się stało, ale, bądź co bądź, to zapewnienie wydało mu się wątpliwem. Później dopiero starszek ów wytłómaczył mu, że widział przez okno całą scenę samobójstwa i przybiegł go ratować. Starszek ów był bezdietnym dziwakiem, milionerem; zaopiekował się panem Kazimierzem i delikatność swoją posunął do tego stopnia, że od razu umarł, pozostawiając panu Kazimierzowi cały swój majątek.

Odtąd panu Kazimierzowi powodzi się wyjątkowo na świecie. Przypisuje to dobroci ludzkiej. Gdyby jednak posiadał był choć podstawowe najogólniejsze wiadomości z chiromancyi, wiedziałby, że blizna, którą sobie zrobił na dłoni stłuczoną butelką, wypadła najzupełniej na miejscu linii szczęścia i los pomylił się widocznie. Los często się tak myli.

TONIO.

Spostrzegłszy na werandzie kawiarni Brzeskiego, Tonio Koszycki zmieszał się i nie wiedział, co począć. Bo Brzeski zerwał się odrazu z krzesła i szedł ku niemu z rozradowanym uśmiechem, przeciskając się wśród kawiarnianych stolików. To dowodziło, że pocziwy student nie wiedział jeszcze o niczem.

I to zmieszało właśnie Tonia. Stokroć byłby wolał w tej chwili, aby Brzeski również już wiedział i udał, że go nie widzi, czy też zmierzył go nawet wyzywającym spojrzeniem. Pogardę Tonio nauczył się już z fantazyą znosić. Gdy w ciągu tych ostatnich dni przed wyjazdem z Warszawy, dawni przyjaciele i znajomi mijali go ostentacyjnie na ulicach, nie tylko nie unikał ich spojrzeń, ale, przeciwnie, narzucał się im z wyzywającym, szyderczym uśmiechem. Miał w tem swoją ambicję, żeby pokazać wszystkim, iż potrafi żyć bez honoru, i bawiła go nawet myśl, że bądź co bądź ta bezcelność jego musiała ich drażnić.

Ale z Brzeskim było co innego. Właściwie Tonio nie zaliczał go nawet do swoich znajomych. Przed paru laty, gdy Tonio gospodarował jeszcze na wsi, polecono mu raz jakiegoś biednego paryskiego studenta, który po chorobie potrzebował dłuższego wypoczynku. Był to Brzeski. Tonio zaprosił go do siebie i gościł przez dwa miesiące. Tak się złożyło, że w owym czasie prowadził kurację, która go skazywała na klasztorny tryb życia, towarzystwo więc Brze-

skiego było mu bardzo na rękę, tembardziej, że student studjował medycynę, więc mógł spełniać przy nim funkcje felczera.

Przez lato zaprzyjaźnili się ze sobą, a raczej Tonio polubił Brzeskiego w specjalny sposób, jak człowiek normalny może lubić łagodnego waryata. Był to jeden z tych sentymentalnych odruchów jego natury, które jego samego dziwiły, występując czasami jaknajniespodziewaniej. I w tej chwili znów, gdy ujrzał nagle przed sobą pocziwą, niedźwiedziowatą figurę Brzeskiego, uczuł, że był to ten jeden jedyny na całej kuli ziemskiej człowiek, przed którym ciężko by mu się było do win swoich przyznać.

Ale prawda musiała wyjść na jaw. Nie za dzień, to za tydzień. Ostatecznie nawet, w Paryżu tylko taki odludek, jak Brzeski, którego nic absolutnie poza jego studyami medycznymi nie zajmowało, mógł jeszcze o niczem nie wiedzieć. Skandal Tonia zbyt był głośny, w pismach były przejrzyste wzmianki, i choć nie wymieniano go z nazwiska, każdy jednak, kto tylko go znał, mógł się bez najmniejszego trudu domysleć, że to o nim mowa. Wszystko to błyskawicznie przewinęło się Toniovi przez mózg i zawahał się nawet chwilowo, czyby nie wyjaśnić Brzeskiemu sytuacji—po prostu z praktycznych względów. Przytem, wyjeżdżając z Warszawy, przekreślił całą swoją przeszłość.

Ale nim się zdołał zdecydować, Brzeski stał już przed nim. Ścisnął go za ręce rozpromieniony i uradowany.

— Skąd się pan tu wziął?

— Z nieba spadłem.

— Prosto na bulwary?

— Najodpowiedniejsze miejsce.

— Kiedy pan przyjechał?

— Przed godziną.

— To cud, żeśmy się spotkali, bo ja jestem na wyjeździe.

— Wraca pan do kraju?

— Tak.

— I kiedy pan się wybiera?

— Miałem zamiar jechać jutro rano, ale wobec tego, że pana spotkał, odłożę jeszcze wyjazd.

— Nie, nie, nie — przerwał mu szybko Tonio. — Niech pan nie odkłada, bo ja również jestem tu tylko przejazdem do jutra rana. Ale dzisiaj wieczór spędzimy razem. Może mi pan go poświęcić?

— Mogę.

Student urwał i zasepił się nagle.

— Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia na mieście, zajmie mi to ze trzy kwadransy czasu — ciągnął niezdecydowanym tonem.

— Poczekał na pana choćby w tej kawiarni. A potem zjemy obiad.

Tonio był już w tej chwili szczerze rad ze spotkania Brzeskiego, zwłaszcza, że się tak szczęśliwie składało, iż Brzeski był na wyjeździe. Gdy się dowie w kraju, będą już od siebie daleko. A narazie miał przynajmniej z kim wieczór spędzić. Długa przymusowa samotność poczyniała mu już ciężać. A przede wszystkim wprowadzała go w melancholię. Na godzinę przed spotkaniem Brzeskiego w hotelu — naszła go chwila takiego przygnębienia, że niewiele mu już brakowało do samobójstwa. Był, co prawda, przemęczony podróżą, i to osłabiło w nim odporność nerwów — reszty dokonał drobny szczegół. Chciał się wykapać po podróży, ale łazienka, którą mu pokazano w hotelu, była tak brudna, że mu od razu chęć do kąpieli odeszła. I to go wpędziło w najokropniejsze zdenerwowanie. Atmosfera trzeciorzędного hotelu, w którym musiał się tym razem zatrzymać, i ta brudna łazienka dały mu nagle jaskrawą wizję nędzy wykolejenców życiowych, i zdjęła go ponura trwoga, że taką mogła być jego własna przyszłość.

— Kawał czasu nie widzieliśmy się.

— Sześć lat.

— Prawda, że już sześć lat od czasu, jak pan był u mnie. Ale dziękuję panu serdecznie za listy. Niech się pan na mnie nie gniewa, że nie odpisywałem, ale...

I przyszło mu nagle na myśl, że takie zdanie w jego ustach od dziesięciu dni było już anachronizmem. Brzeski wesoło się roześmiał, zabawnym ruchem podnosząc ręce do góry.

— Och, za cóż miałbym się gniewać. Wiem, że pan pisać nie lubi.

— Tak, to nie moja specjalność.

— Teraz mi pan wszystko opowie — roześmiał się student.

Od wyjazdu ze wsi regularnie i rokrocznie Brzeski pisywał do Tonio listy z życzeniami noworocznymi. Tonio nigdy mu nie odpisywał, — o czym zresztą mógł pisać? I w tej chwili dopiero zdał sobie sprawę, że taka pamięć ze strony Brzeskiego była bądź co bądź dowodem głębokiej i tkliwej wdzięczności. Brzeski posuwał się nawet do przesady, traktując Tonio niby swego dobroczyńcę.

— Głupio mu się robi — myślał Tonio, — gdy się dowie, że jaśnie pan pofalszował weksle i że go przyłapano na oszustwie przy kartach.

Zawiódł się na Brzeskim, czy też raczej na sobie. Towarzystwo młodego uczonego denerwowało go tylko, i kto wie, czy z dwojga złego nie była już lepsza samotność. Sam przypomniawszy Brzeskiemu o tym jakimś interesie na mieście.

— Może pan teraz pójdzie. Potem będziemy mieli cały wieczór wolny.

— Ach!

Brzeski machnął niechętnie ręką. Widocznym było, że po spotkaniu Tonio już mu ta sprawa wywietrzała z głowy.

— Strasznie mi to nie na rękę — począł narzekać znużonym głosem. — Muszę jechać aż w stronę Północnego Dworca. No, ale mam nadzieję, że się tam w dziesięć minut załatwię i będę mógł wrócić do pana. Gdzież ja mam ten adres, ciągnął półgłosem, rozkładając na stole olbrzymi pugilares, wypchany papierami. Był to prezent od Tonio.

— Ma pan ten pugilares jeszcze — roześmiał się Tonio.

— Mam, doskonale mi służy — odparł Brzeski.

— A jest — krzyknął zaraz, podnosząc do oczu jakąś starą kopertę. Hôtel des Voyageurs koło Dworca Północnego.

Tonio drgnął mimowoli. Hôtel des Voyageurs koło Dworca Północnego. Tam właśnie, gdzie on zajeżdżał. Ze zdziwieniem spojrzął na Brzeskiego.

— A pan co ma tam za interes?

— To właśnie najgorsze, że nie mam żadnego.

— A to po cóż pan tam jedzie?

— Bo do mnie mają interes. Przyjechała tu jakaś pani, polka, Lipińska, znajoma moich bardzo dobrych znajomych. Otóż dostałem od nich list, żebym się z nią zobaczył i poradził jej, jak się ma urządzić. Podobno jest to bardzo niešťeśliwa kobieta, miała jakieś ciężkie przejście z mężem, który ją porzucił. Przyjechała tu, żeby przejść na Sorbonie kurs francuskiego języka i módz dawać lekcyi. Ale cóż ja mogę jej poradzić, zwłaszcza, że ja sam jestem na wyjeździe. Powiem, żeby się przedewszystkiem przeniosła na lewą stronę, boć tam nie może mieszkać.

— Może to i ona, — przyszło odrazu Toniowi na myśl. Na korytarzu w hotelu widział jakąś młodą kobietę, którą podobała mu się z sylwety. Była wysoka, szczupła, zgrabna. Machinalnie przyspieszył kroku, chcąc ją wyminąć i przyrzec jej się, ale, nim ją dogonił, zniknęła we drzwiach. A zresztą, ona czy nie ona, cóż go to mogło obchodzić?

Brzeski ociężale podniósł się z krzesła.

— To poczeka pan tutaj na mnie?

— Poczekam.

— Ostatecznie, nie jest to znów stąd tak daleko. Za jakieś trzy kwadransy będę z powrotem.

Tonio spojrział na niego z uśmiechem.

— Niechże pan tę brodę ogoli — odezwał się nagle.

— Znów pan mnie swoją brodą prześladuje.

Wojowali już o to na wsi przed sześciu laty. Raz nawet Brzeski, ulegając Toniowi, postanowił ogolić się na próbę. Tonio dał mu swoją brzytwę i asystował przy operacyi, która fatalnie nie powiodła się Brzeskiemu: przez parę dni chodził z pokrajaną twarzą. Parsknął nagle śmiechem, przypominając sobie tę przygodę.

— Pamięta pan, jakem się pokaleczył?

— Aha, ładnie pan wyglądał. Już pan miał wtedy zdolności na chirurga.

— Nie, tych nigdy nie miałem.

— A jakże się Antosia miewa?

Brzeski stał już nawpół odwrócony bokiem do Tonio.

I można było wyczuć, że moment wahania poprzedził to pytanie. Tonio roześmiał się wesoło.

— Pamięta ją pan?

— Doskonale — dodał nagle. — Wyładniała, bardzo często wspomina pana.

Pocziwy Brzeski nie wiedział nawet nic jeszcze o sprzedaży majątku. I może miał nadzieję, że go Tonio znów jeszcze do siebie zaprosi. Szybki drwiący uśmiech przewinął się Toniowi po wargach.

— A zresztą, mam nadzieję, że pan przyjedzie do mnie w lecie.

— Oj, w tym roku nie będę miał czasu — westchnął.

— Ale, znajdzie pan czas, napewno pan znajdzie. Zobaczy pan, jakie u mnie zmiany. A przedewszystkiem gospodarza pan nie pozna.

Brzeski parsknął śmiechem. Radosne jego podniecenie wyładowywało się w ciągłych wybuchach śmiechu.

— A pod jakim względem zmienił się gospodarz?

— Zobaczy pan... A teraz niech pan idzie do swej opuszczonej rodaczki. Ja tu czekam.

Uścisnęli się serdecznie za ręce i Brzeski znikł w tłumie.

— Dyabli nadali to spotkanie — zaklął po chwili Tonio, przeciągając się na krześle.

Wściekły był na siebie i darować sobie nie mógł sentymentalnego odruchu, który kazał mu się witać z Brzeskim. Trzeba było przejść poprostu, roześmiewszy mu się imperytynencko w nos i koniec. A te rozmowy, dowcipy, zaproszenie na wieś, wszystko to nie miało najmniejszego sensu, było tylko maskowaniem zdenerwowania.

Skinął na służącego, uregulował rachunek i, wyszedłszy na ulicę, począł się rozglądać po restauracyach. Głodny był już strasznie, gdyż od pierwszego śniadania w wagonie restauracyjnym nic przez cały dzień w ustach nie miał. Podróż i zdenerwowanie odebrały mu apetyt.

— Zdziwi się Brzeski, gdy mnie nie zastanie. Ano, trudno, jeśli się nie spotkamy w tem życiu, to na sądzie ostatecznym znajdzie przecież chwilę czasu, aby go przeprosić, próbował dowcipkować. Czuł jednak nieszczerść tego humoru. To,

co zrobił Brzeskiemu, było tylko głupim i niesmacznym w najwyższym stopniu kawałem. I Tonio nie mógł zataić w sobie uczucia niesmaku, a z tem uczuciem chciał walczyć właśnie, pracował nad tem, aby się pozbyć wszelkich mimowolnych i bezwiednych odruchów przyzwoitości i uczciwości. Zły był więc przede wszystkim, że dawne nałogi odzywały mu się jeszcze w duszy.

Z litości, przez wzgląd na rodzinę oszczędzono Tonio wi więzienia. Wywarło to na nim jakieś dziwne, niezrozumiałe wrażenie. Ach, gdyby nie ta litość, wszystko zakończyłoby się odrazu i poprostu. Cóż było łatwiejszego dla niego, jak wleć sobie palnąć? Od chwili, gdy puścił te fałszywe weksle w obieg, wciąż miał nabity rewolwer w kieszeni. I tak był zdecydowany na samobójstwo, zimno, bez śladu roztkliwienia w duszy, że dlatego właśnie nie wierzył aby go szczęście mogło opuścić. Zdawało mu się, że los, widząc jego zdecydowanie, zawaha się i nie odważy dopuścić do jakichś fatalnych wypadków. Opierało się to na rasowem poczuciu dobrego wychowania. Tonio, darząc takim zaufaniem ów tajemniczy los, którego działanie wyczuwa się na każdym kroku w życiu, nie wyobrażał sobie poprostu, aby z tamtej strony nie odpowiedziano mu z równą wytwornością. Ale stało się inaczej. Gdy skandal wybuchnął, Tonio nie pamiętał już o samobójstwie. Bo przedtem przyszło przebaczenie. W grze swojej, obliczając wszystkie najdrobniejsze posunięcia i powikłania, tego jednego Tonio nie przewidział. I to zwichrzyło mu duszę najzupełniej. Wydało mu się, że tym aktem litości chciano go tylko upokorzyć jeszcze bardziej, a może nawet wymusić na nim samobójstwo. Pojął w jednej chwili, że życia sobie nie odbierze.

I przekorna jego duma znalazła sobie odrazu nowe ujęcie. Postanowił być szubrawcem. Kraść i oszukiwać. Ale już sprytnie, aby go nie przyłapano i ostatecznie zatryumfować. Być znowu panem i drażnić ludzi swoim cynizmem, aby mówiono o nim z bezsilną złością. Wezbrała w nim jakaś głucha nienawiść do wszystkich uczuć ludzkich. I od tej chwili począł kontrolować każdy odruch swej duszy, pragnąc, aby wszystkie były nikczemne, podłe, brudne.

Zresztą, nie widział innej drogi przed sobą. Pracować? W chaosie najrozmaitszych myśli i to przewinęło mu się przez głowę. Był zdolny, sprytny i potrafiłby sobie dać radę wśród nowych warunków życia, gdzieś za granicą, może w Ameryce, ale wślad zatem przyszło odrazu wyobrażenie jakby mu to chwalono.

— A, wziął się do pracy, chce odpokutować...

I tej myśli znieść nie mógł, upokarzała go i rozpałała mu nienawiść w duszy. Wciąż wracały echa żalu, wstydu, rozpacz. Ot, choćby przed chwilą, podczas rozmowy z Brzeskim, mimo, że całą siłą woli trzymał nerwy na wodzy, ponosił go sentyment. I przykro mu było, że Brzeski będzie go szukał, niepokoił się, aż wreszcie za parę dni w Warszawie wypisze mu nekrolog w duszy:

— A to dureń!

— Przecież to już jest poprostu staropanieński sentymentalizm! — wymyślał sobie Tonio. A najgorsze było to, że uczucia niepotrzebne i przeżyte nachodziły go w Paryżu. Bo tu — z chwilą, gdy wysiadł z wagonu, zaczynała się nowa rzeczywistość. W gorączkowym zamiętaniu ostatnich dni przed wyjazdem z Warszawy wszystko to jeszcze były projekty, daleka, mglista, nieokreślona przyszłość. A teraz należało zacząć żyć.

Miał kilkaset franków w kieszeni i z tem myślał wydobyc się z powrotem na powierzchnię życia. Inaczej śmierć. A w takim razie lepiej było w Warszawie „umrzeć z honorem.“ Wyjeżdżał, pełen dobrej wiary w swoją ciemną przyszłość, nienawiść podsycala w nim fantazję, tak, że wsiadając do wagonu, był nawet w cudownym humorze. Potem w drodze ogarnęło go znużenie i apatya. Ale po szalonym wysiłku nerwów, jakim żył przed wyjazdem, było to rozkoszne uczucie. Monotonny łoskot kół wagonowych sypał mu się na mózg gradem drobniuteńkich uderzeń i oszałamiał myśli.

— Przepyszny masaż mózgu — śmiał się Tonio — uświadamiając sobie swój stan. Wiedział, że go Paryż zelektryzuje. Rozczarowanie, jakie zaraz na wstępie przeżył, przejęło go posępną trwogą. Tembardziej, że wszystkie jego

awanturnicze pomysły wydały mu się nagle pustymi frazesami. Dobrze były, jako okłady na duszę, aby złagodzić gorczy upokorzenia, ale w życiu...

Roześmiał się ironicznie i wzruszył ramionami.

Cóż miał począć ze swoim „zdecydowaniem na wszystko.“ Rzucić się na pierwszego lepszego przechodnia, zdusić i obedrzeć? Wlókł się coraz bardziej przygnębiony i posępny.

Nagle drgnął—znów znajomy z Warszawy,... Ha, ha i to jeszcze jaki znajomy! Stary pan Cichocki, dawny przyjaciel ojca.—No, ale ten przynajmniej już wie o wszystkim, nie będzie sentymentalnych nieporozumień. Jeszcze moment, starszek zatrzymał się przed sklepem.—Gorsety bestya ogląda śmieje się Tonio i zwalnia kroku, bo nie chce bynajmniej przed Cichockim uciekać. Spojrzy mu w oczy, jak innym. No, odwróć się niedołęgo! Kto, jak kto, ale Cichocki musi być oburzony i zgorszony jego skandalem. On—uosobienie wszystkich cnót obywatelskich! Tonio, jakby go słyszał w tej chwili: „Syn takiego porządnego człowieka“—Ma się rozumieć, to Cichocki musiał mówić napewno.

I mijają się w tej chwili. Tonio, wyzywający, arogancki, z ironicznym uśmiechem. O całą głowę jest prawie od Cichockiego wyższy i mierzy go zgóry pogardliwym spojrzeniem. I odrazu na śmiech mu się zbiera.

— A to się stary przeraził!... Tak zawrócił, jak gdyby Tonio chciał się rzucić na niego. A Tonio czuje, że to spotkanie było mu potrzebne. Odrazu fantazję odzyskał.

SZCZĘŚCIE FRANIA

KOMEDJA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Lipowski
Lipowska
Hela, ich córka
Franio
Otocki
Langmanowa
Mroczyńska.

Akt I.

Duży, bogato umeblowany salon.

SCENA I.

Langmanowa, Lipowska.

Lipowska. Doprawdy niema pani czasu?

Langmanowa. Nie, nie... muszę uciekać. Nie mogę się za bardzo spóźniać do domu, a mam jeszcze parę spraw do załatwienia na mieście. Mężowi śliczne ukłony. I Hele proszę ucałować odemnie. Jakżeż lekcje idą.

Lipowska. Jak dotąd z ogromnym zapalem: Dziwne nawet, że się nie zniechęciła jeszcze.

Langmanowa. O, bo Hela posiada rzeczywisty talent. Napewno będzie z niej znakomita artystka.

Lipowska. Może... może... Wolę żeby się nie sugerowała zbyt temi marzeniami o sławie.

Langmanowa. Pan Otocki przepowiada jej wielką przyszłość.

Lipowska. On... ma się rozumieć. Mówi, że Hela pod jego kierunkiem zrobiła duże postępy...

Langmanowa. To bardzo zdolny artysta. Zeszłej niedzieli widziałam na wystawie portret prezesa Janeckiego jego pędzla.

Lipowska. A, ten portret mu się udał, to trzeba przyznać. Prezes jak żywy. Wszystko, nos, oczy, usta tak odrobione... Każda najmniejsza żyłeczka na skroni... o moja droga ile to cierpliwości potrzeba, żeby tak każdy szczegół wymalować. Tak, na oko nigdy bym nie przypuściła, że Otocki potrafi tak sumiennie pracować.

Langmanowa. Ja osobiście bardzo wierzę w talent Heli. Mogę powiedzieć, że się trochę znam na tem, a te rysunki jej, które widziałam...

Lipowska. W każdym razie przynajmniej przestała myśleć o teatrze. Bo przedtem o niczem innem nie było w domu mowy tylko o wstąpieniu na scenę. Prostu chciałam już wszystkie lustra powyrzucać z mieszkania, bo wciąż tylko krzywiła się przed nimi. Dlatego cieszę się nawet bardzo z tego jej zapału do rysowania.

Langmanowa. Że pani się już zbyt sceptycznie zapatraje na wszystko... Talent to taka cudowna rzecz, najpiękniejszy dar przyrody... Ale, ja się zbieram, zbieram... no już nieodwołalnie dowidzenia...

SCENA II.

Langmanowa, Lipowska, Hela.

Hela (*wbiega do pokoju w tenisowym kostjumie z rakieta w ręce*). A... dzień dobry pani... Jak się masz mamusku (*całuje matkę*).

Langmanowa. Dzień dobry i dowidzenia.

Hela. Pani już odchodzi, czemu?

Hela. Niestworzone rzeczy (*chodzi wzburzona po scenie*). A już mam dość tego wszystkiego... (*zwraca się gwałtownie do Otockiego*) Czemu ty nie jesteś bogaty?

Otocki. Ba...

Hela. Tak by się cudownie wszystko ułożyło... Wyjechalibyśmy do Włoch, czy do Paryża... Zaczęłabym pracować, bo tu w tej atmosferze przecież mowy nie może być o tem...

Otocki. Nie przejmuj się tem znów tak bardzo... (*po chwili*) A, swoją drogą to niemiłe... (*po chwili*) no, więc ja idę.

Hela. Czekaj.

Otocki (*po chwili*). Jednak mama zauważyła... No...

Hela. Czekaj... na paru minutach przecież ci nie zależy. Najlepsze ze wszystkiego, że mama chce, żeby zawsze podczas lekcji drzwi od salonu były otwarte... jak ci się to podobaa...

Otocki. Hm...

Hela. Niech sobie otwierają drzwi i okna na przestzał... A ja przyjdę do ciebie, przyjdę (*chwyciła go za szyję i namiętnie całuje w usta*)

Otocki. Helu...

Hela. Przyjdę... jutro o czwartej (*biegnie otwiera drzwi od gabinetu*). Panie Franiu prosimy... Pan się nie gniewa?

Franio (*wchodząc*). Nie...

Otocki. Moje uszanowanie.

Franio. Dowidzenia. (*Otockiego z Helą wychodzą. Franio zostaje na scenie... siada w fotelu, zakłada nogę na nogę, zapala nerwowo papierosa, po chwili przez drzwi zagląda do pokoju Mroczyńska*).

SCENA X.

Franio, Mroczyńska.

Franio. Pani Mroczyńska.

Mroczyńska (*tajemniczo*). Jeszcze nie przyniosła... Ale niech pan Franciszek będzie spokojny...

Franio! Kiedy ja się rozmyśliłem. Niech pani ten list odda.

Mroczyńska. Oddać... panu?

Franio. No tak. Cóż pani patrzy na mnie jak na warjata?

Mroczyńska. Bo... niechęć pana Franciszka obrażać, ale...

Franio. Ale co...

Mroczyńska. Na mój rozum to niema najmniejszego sensu... Nie, ja tego listu nie oddam i jak się pan zastanowi to mi pan sam będzie wdzięczny...

Franio. Mroczyńska to robi, co ja każę...

Mroczyńska. O... „co ja każę“ A przed chwilą to pan Franio...

Franio. Przed chwilą, przed chwilą... Przedewszystkiem nie jestem panem Franiem.

Mroczyńska. Ii, panu naprawdę piątej klepki w głowie brakuje...

Franio. Jak pani śmie odzywać się do mnie w ten sposób.

Mroczyńska. A śmiem... Bo pan mi niema nic do rozkazywania. Jeszcze Pana nikt nie znał jak ja tu już w domu byłam... (*zwracając się ku drzwiom*) Oddam list oddam... Ciekawa jestem tylko, co nasz pan na to powie...

Franio (*słabym głosem*). Pani Mroczyńska.

Mroczyńska. Co?

Franio. Ja pani nie chciałem obrazić, wiem, że pani jest dobra kobieta. Czy... czy pani naprawdę sądzi, że to niema sensu?

Mroczyńska. A niechże pan Franio porachuje tylko co to kosztuje edukacja panienki... I mieliby państwo oddawać...

Franio. A więc za kogo panna Hela ma wyjść za mąż... może za tego durnia.

Mroczyńska. Za jakiego durnia.

Franio. Za tego... malarza... Ja mu dałem dziś do zrozumienia...

Mroczyńska. Ii, co też pan wygaduje... Panience potrzeba męża, któryby miał i rozum i sytuację w świecie.

Franio (*po chwili*). Przecież u diabła żenią się ludzie... Ot i teraz przed chwilą Otocki mi opowiadał... Jego kolega, głupi ordynarny, syn jakiegoś woźnego i ożenił się z panną ze wsi... A mój ojciec znał przecież od dzieciństwa pana Lipowskiego... Nie, nie... Niech się co chce dzieje... to się raz musi skończyć... Albo... albo... Ja się męczę, po nocach syć nie mogę.

Mroczyńska. To też pan Franciszek coraz gorzej wygląda...

Franio. Właśnie... jeszcze suchot dostanę (*zmieniając nagle ton*). Zresztą co mi tam suchoty. Kto wie czy nie najlepiej by było... (*z nagłym wybuchem energii*) nie, postanowiłem, nie będę się cofać... To właśnie moje nieszczęście, że się nad wszystkim zabardzo namyślam, a jak się zacznę namyślać...

Mroczyńska. I żeby pan Franio, naprawdę chciał pomyśleć...

Franio. Skończmy tę rozmowę. Niech Mroczyńska odda list panu... Że też ja zawsze muszę!

Lipowska (*za drzwiami*). Mroczyńska.

Mroczyńska. Pani mię woła (*wybiega, Franio zbliża się do lustra i przegląda*).

SCENA XI.

Lipowska, Franio.

Lipowska (*wchodząc do salonu, po chwili*). Panie Franiu, po co pan tu Mroczyńską zatrzymuje?

Franio. Ja... nie...

Lipowska. Jaki to nie?... Niechże pan nie robi takiej rozpaczliwej miny.

Franio. Ja jestem strasznie zdenerwowany.

Lipowska. I pan...

Franio. To i pani jest zdenerwowana?

Lipowska. To nie o mnie chodzi, choć ja zdaje się miałabym po temu najwięcej powodów. Chciałam się pana

spytać, czy pan nie zauważył, że Hela od pewnego czasu jest wciąż dziwnie podrażniona.

Franio. Zauważyłem.

Lipowska. Zauważył pan? I czym pan to sobie tłumaczy...

Franio. To to może mieć najrozmaitsze przyczyny.

Lipowska. To i ja wiem.

Franio. Bo ja... ja co innego miałem na myśli... Ja do państwa jestem przywiązany jak syn.

Lipowska. Wiem panie Franiu. I my wszyscy uważamy pana prawie za krewnego.

Franio. Doprawdy?

Lipowska. Ma pan chyba tego dowody... Ale skąd panu to teraz na myśl przyszło?

Franio. Ja... ja nieraz o tem myślałem.

Lipowska. Pocziwy z pana chłopiec.

Franio. Mnie się zdaje, że ja mam przyszłość przed sobą.

Lipowska. Zapewne... Jest pan młody, pracowity.

Franio. Energiczny.

Lipowska. No, na energii może panu trochę zbywa.

Franio. O nie... Ja potrafię wszystkie przeszkody przezwyciężyć.

Lipowska. Ale co to ma wspólnego?

Franio. Pani myśli, że ja oszalał?

Lipowska. Nie, panie Franiu, tylko przyznam się panu szczerze, że nie pojmuję, po co mi pan to wszystko mówi.

Franio. Ja dawno chciałem z panią porozmawiać (*całuje Lipowską w rękę*) niech mnie pani spokojnie wysłucha.

Lipowska. Wciąż pana słucham.

Franio. Przez cztery lata odkąd u państwa bywam, państwo mogli mnie dobrze poznać. Ja... cóż... mój Boże... tak się złożyło, że nie mogłem skończyć... nie z mojej winy. Gdybym był miał możność jak inni, napewno przeszedłbym przez gimnazjum i uniwersytet skończył... Ale na to wszystko potrzeba pieniędzy, pani wie?

Lipowska. Zapewne, zapewne... Wykształcenie strasznie kosztuje, ale co to ma za związek.

Franio. W tej chwili, w tej chwili... Ostatecznie patent szkolny o wartości człowieka nie stanowi.

Lipowska. Zawsze lepiej szkoły skończyć.

Franio. Ale jak kto nie może.

Lipowska. Panie Franiu, co panu jest... Pan aż drży cały ze zdenerwowania.

Franio. Aa... Bo to pomyśleć... Tylu innych ma możność i środki, i nie korzysta... a ja przecież i zdolny jestem i chciałem się uczyć... i napewno byłbym teraz... czy ja wiem może lekarzem, może inżynierem... w każdym razie.

Lipowska. Nie, z panem dziś niepodobna dojść do ładu...

Franio. Już, już, już... Dwa słowa tylko... Ostatecznie mimo wszystko czuję, że jestem więcej wart od innych... Tak! Choć nie mam wykształcenia, choć się mną wysługiwali na marnej posadzie.

Lipowska. Panie Franciszku stanowiska, jakie pan u nas zajmuje, bardzo wielu młodych ludzi mogłoby panu pozazdrościć.

Franio. Nie, niech się pani na mnie nie gniewa... Ja się źle wyraziłem... To nie znaczy bynajmniej, że bym był niezadowolony ze swojej posady... przeciwnie... nie, skądżeż mógłbym coś podobnego mówić... Ja chciałem tylko przez to wyrazić, że się czuję na siłach do daleko wyższych, jakby powiedzieć... że mogę zajmować daleko lepsze stanowisko, słowem żeby państwo nabrali przekonania, że jestem naprawdę dzielnym i porządnym człowiekiem, że zasługuje na zaufanie.

SCENA XII.

Franio, Lipowski, Lipowska, później Hela.

Lipowski (*wchodząc do salonu w palcie, z teką pod ręką*). Ale też dzisiaj uwzięli się na mnie... Uu... ledwo żyję... (*Kładzie tekę na stole*).

Franio (*szybko chwyta tekę*). Odniosę do gabinetu... (*wybiega*).

Lipowski. Co jemu się stało?

Lipowska. Pojęcia nie mam, on chyba oszalał.

Lipowski. Ja już od rana zauważyłem, że był jakiś zdenerwowany.

Lipowska. Z godzinę męczył mnie opowiadaniem, że chciałby, żebyśmy do niego nabrali zaufania, że jest zdolny, przyzwoity, że choć szkół nie skończył, czuje się na siłach do zajęcia wybitniejszego stanowiska.

Lipowski. Franio... (*zbliża się do fortepianu i poczyna jedną ręką wybierać jakąś melodię*). Tak mi się ta melodia wciąż kręci po głowie — Więc powiadasz, że Franio? Ale o cóż mu chodzi.

Lipowska. Pojęcia nie mam.

Lipowski. Ale... ale... Spotkałem Langmanową na ulicy... taka jest pełna zachwyty dla talentu Heli... myślałem, że się baba rozplynie...

Lipowska. Powiem ci szczerze.

Lipowski. Co?

Lipowska. Mnie się te lekcje rysunków coraz bardziej zaczynają niepodobać.

Lipowski. Nie przesadzaj... Jeszcze miesiąc, dwa się pobawi i przestanie o karierze artystycznej myśleć... To samo będzie co z teatrem... Klin, klinem.

Lipowska. Ja się o co innego obawiam... że Hela zawróciła sobie Otockim głowę...

Lipowski. Czyś co zauważyła.

Hela (*wbiegając do salonu*). Ojczulku, proszą cię do telefonu...

Lipowski. Ledwom do domu przyszedł... Niech się Franio rozmówi... Albo czekaj, już ja sam pójde (*wychodzi*).

Lipowska (*idąc za nim*). Moja Helu, powynościę z Franiem stąd te rzeczy.

Hela. Dobrze (*zbliża się ku drzwiom*). Panie Franiu, panie Franiu...

SCENA XIII.

Franio, Hela, później Lipowski.

Franio (*wbiegając pośpiesznie do salonu*). Jestem... Dziękuję pani serdecznie panno Helu.

Hela. Za co?

Franio. Że mnie pani zawołała... Ja właśnie... Pani pamięta, o chwilę rozmowy.

Hela. Pamiętam, pamiętam... Niech pan weźmie ze mną sztalugi...

Franio. Jakto?

Hela. No, przecież może pan mówić... Jedno, drugiemu nie przeszkadza.

Franio. Nie... nie... Niech mnie pani spokojnie wysłucha... Może będę mówił bez związku... Jestem tak okropnie zdenerwowany, że się cały trzęsę. Nie... nie... Ja, gdy potrzeba, umiem niesłuchanie panować nad sobą... O, już jestem spokojny... Proszę pani, panno Helu, ja dziś napisałem list do pana Lipowskiego.

Hela. Pan do papy...

Franio. Tak oddałem rano posłańcowi, ale zapowiedziałem, żeby dopiero koło czwartej przyniósł... To mój znajomy, zawsze go posyłam... bardzo porządny człowiek.

Hela. A cóż mnie posłaniec obchodzi.

Franio. Rzeczywiście co to panią może obchodzić... Otóż on łada moment tu będzie i ani chwili nie mogę dłużej zwlekać... Niech pani usiądzie...

Hela (*z ironicznym uśmiechem*). Dziękuję panu...

Franio. Pani śmieje się ze mnie... Niech pani usiądzie. To bardzo ważne, od tego całe moje życie zależy...

Hela. Żebym usiadła... A skoro tak (*siada*).

Franio. Panno Helu, pani jest dla mnie taka niedobra... zwłaszcza od czasu... odkąd pani bierze te przekłete lekcje...

Hela. Panie Franiu, co to znaczy...

Franio. Przepraszam panią, pani zaraz pojmie dłaczę...

go... niech pani siedzi... niech pani siedzi... niech mi pani na jedno pytanie odpowie... szczerze... przepraszam panią... czy... czy... pani kocha pana Otockiego...

Hela. Czy pan zawarował...

Franio. Zawarowałem, jeśli szczere, głębokie uczucie... nie, do diabła ja będę poprostu mówił tak jak myślę... Pani wie... Coś tak się nieszczęśliwie złożyło... że nie mogłem skończyć, ale to nie z mojej winy... Więc napozór... ale ja się czuję na siłach, żeby sobie wywalczyć, żeby być godnym... Nie... nie... niech pani nie odchodzi... moja złota, moja jedyna... ja od czterech lat, odkąd państwa poznałem... wciąż... wciąż z tą myślą... Pani wie, jakie to straszne, poprostu do siebie samego czasami się wstręt czuję... że człowiek... Ale przecież ja mam prawo jak wszyscy inni, niech pani jedno słowo powie.

Hela. Co pan w tym liście powypisywał.

Franio. Właśnie...

Hela. Niech pan zbiegnie do bramy, zna pan posłańca, niech mu pan ten list odbierze, żeby na górę nie przyniósł...

Franio. Aa...

Hela. Panie Franiu, niech pan nie będzie dzieckiem, chce pan o poważnych rzeczach mówić... On płacze... Ależ pan ma naprawdę oczy pełne łez...

Franio. Bo... bo... bo...

Hela. No, niechże się pan nie maże. Kto słyszał (*głaszcze go po twarzy*).

Franio (*chwytając ją za rękę i zaczyna namiętnie całować*). Przecież ja panią... jak nikt... bo do śmierci... niech pani jedno słowo powie... całe moje życie...

Hela. Niechże się pan uspokoi (*wyciera mu oczy chustką*). Pomówimy... o wszystkim, pomówimy... tylko tak od razu nie można. Widzi pan, że i ja jestem najokropniej zderwowana.

Franio. Niech pani jedno słowo powie... Żebym choć mógł mieć nadzieję.

Hela. Panie Franiu ja teraz nic nie wiem... nic panu nie mogę powiedzieć... później, jak się uspokoję... (*głaszcze go ręką po twarzy*). Jeśli pan naprawdę jest mi tak życzli-

wym jak pan mówi, niech pan zbiegnie do bramy i odbierze ten list nieszczęśliwy.

Lipowski (*wchodzi pospiesznie do salonu z listem w ręce*). Mój panie, pan pisał ten list.

Franio. — —

Lipowski. Cóż pan oniemiał.

Franio (*po chwilowej widocznej walce wewnętrznej staje w obronnej pozycji, jak gdyby Lipowski miał się rzucić na niego, głośno i śmiało*). Ja!

Koniec aktu I-ego.

A k t II.

Ten sam salon. Meble porozstawiane w nieładzie i okryte pokrowcami, obrazy owinięte płótnem, na stołach porozkładane pakunki. Przygotowanie do wyjazdu.

SCENA I.

Lipowska, Mroczyńska.

Lipowska (*ubrana jak do wyjścia w kapeluszu na głowie, siedzi pośrodku sceny na krześle, do Mroczyńskiej, która stoi przy oknie*). Nie... nie... nie... Mroczyńska sama tych firanek nie zdejmie... trzeba będzie stróża zawołać.

Mroczyńska. Z Anusią zdejmujemy.

Lipowska. I jeszcze która przez okno wyleci... niechcę...

Mroczyńska. Zeszłego lata to pan Franio wszystko pozdejmował... w godzinę było gotowe.

Lipowska. Ba, żeby Franio był...

Mroczyńska (*po chwili*). Co też się z panem Franiem dzieje?...

Lipowska. Ma posadę.

Mroczyńska. Czy nie chory, bo mi się śnił przez dwie noce z rzędu.

Lipowska. Mroczyńskiej wiecznie się coś śni... Głupi chłopak... wszystkiemu sam winien (*przerzucając pakunki na stole*). Niech no Mroczyńska powie zaraz Anusi...

Mroczyńska. Anusi niema...

Lipowska. A cóż ona za spacery sobie urządza?

Mroczyńska. Panienska wysłała ją z listem.

Lipowska. Panienska z listem. Do kogo?

Mroczyńska. Niewiem.

Lipowska. My się i za tydzień nie wybierzemy... Niech Mroczyńska poprosi tu panienski... Ale przedtem jeszcze niech Mroczyńska zatelefonuje do krawcowej, czy ona odniesie te rzeczy czy nie... Naumyślnie czekam na nią, nie wychodzę...

Mroczyńska. Z nią to wiecznie ta sama historia... W zeszłym roku jak się wyjeżdżało na lato, to przecież pan, Franio...

Lipowska. A niechże mi Mroczyńska da raz święty spokój z Franiem... (*słychać dzwonek*) O, to pewno od krawcowej.

Mroczyńska (*wybiega, po chwili wraca*). Pani Langmanowa przysła...

Lipowska. Tego jeszcze brakowało (*nerwowym ruchem zdejmując kapelusz*). Ja dziś nie wyjdę.

Mroczyńska. Prosiłam do gabinetu pana, bo tu taki nieład.

Lipowska. Można było powiedzieć, że mnie niema w domu... Mroczyńskiej wszystko trzeba kłaść w głowę jak dziecku... Tu będzie widać przynajmniej, że się pakujemy... A w gabinecie niech Mroczyńska tymczasem pozdejmuje obrazy (*wychodzi*).

Mroczyńska (*patrzy za nią chwilę, wzrusza ramionami, wychodzi drugimi drzwiami, mruczając pod nosem*). Jak małemu dziecku...

SCENA II.

Lipowska, Langmanowa.

Lipowska (*wprowadzając na scenę Langmanową*). Ale cóż znowu? Jeslibym mogła się na panią o co rozgniewać to chyba o te ceremonje właśnie... Ja powinnam panią przeprosić za ten nieład.

Langmanowa. U mnie za miesiąc będzie to samo... Ale państwo znacznie wcześniej wyjeżdżają, niż zwykle.

Lipowska. Tak... postanowiłam przyspieszyć trochę wyjazd ze względu na Hele...

Langmanowa. Przecież pannie Heli nic nie jest.

Lipowska. Nic, dzięki Bogu zdrowa jaknajzupełniej... tylko zawsze co wieś to wieś... dla dziewczyny w jej wieku.

Langmanowa. To prawda.

Lipowska. Dziś nawet właśnie wybierałyśmy się z nią do państwa.

Langmanowa. I mam nadzieję, że panie projektu nie zmienią... Bo to, że ja tu jestem, to się nie liczy... wpadłam na chwilę... Sama niewiem doprawdy... może pani dziwnem się to wyda, z czem przyszłam.

Lipowska. Słucham pani.

Langmanowa. Ufam w znaną pani dobroć i to mi dodaje odwagi...

Lipowska. —

Langmanowa. Otóż... Wczoraj był u nas pan Franciszek... Właściwie nie u nas a u mego męża.

Lipowska. Franio...

Langmanowa. Być może, że wtrącam się w nieswoje rzeczy...

Lipowska (*przerywając jej*). I czegoż on chciał od państwa?

Langmanowa. Prosił męża o wynalezienie mu jakiegokolwiek zajęcia... Strasznie wygląda... Podejrzewam (*rozgląda się po pokoju, zniżając tajemniczo głos*) musi poprosić nędzę cierpieć.

Lipowska. Skarżył się przed państwem.

Langmanowa. Nie... Ale to było tak widoczne... Miałam wrażenie, że całym wysiłkiem woli panował nad sobą, żeby się nie rozplakać...

Lipowska. A... jej... jej... pojęcia nie miałam, że on jest w takiej sytuacji... pomogło by mu się. Dlaczegoż go pani do nas nie odesłała?...

Langmanowa. Jaka pani dobra... Ja wiedziałam że to się tak skończy.

Lipowska. Czy Franio mówił co o nas.

Langmanowa. To tylko, że do państwa absolutnie się zwracać nie może... A ponieważ wiemy, że tyle lat pracował u pana Lipowskiego i że państwo tak życzliwie przyjmowali go u siebie w domu... jak krewnego niemal.. więc chciałam się dowiedzieć co było powodem... Pani pojmuję... mąż mój obiecał mu wystarać się o coś... A znów mnie tak się serdecznie żał zrobiło chłopaka, że przysłam ze swej strony prosić pani, czyby to się nie dało jako naprawić... On taki miły...

Lipowska (*zimno*). Proszę pani my jesteśmy dla pana Franciszka zawsze jednakowo życzliwie usposobieni... A że on... Przecież musiał coś wspominać, dlaczego podziękował mężowi za posadę i przestał u nas bywać.

Langmanowa. To on sam podziękował za posadę.

Lipowska. Ma się rozumieć. Gdyby był chciał, mógłby być do dzisiejszego dnia ją mieć... I wogóle zawsze...

Langmanowa. On nam mówił, że się uniósł i nie stosownie odpowiedział panu Lipowskiemu. Ma się rozumieć radziliśmy mu przeprosić.

Lipowska. Ależ nic podobnego nie było...

Langmanowa. Ja panią najmocniej przepraszam...

Lipowska. Za co... Skoro sam przyszedł do państwa... (*po chwili*) W rzeczywistości cała ta sprawa jest tylko śmieszna... Opowiem ją pani, żeby nie było nieporozumień... Franio zakochał się w Heli i oświadczył nam się o jej rękę...

Langmanowa. Franio.

Lipowska. Tak. I następnie śmiertelnie się na nas obraził.

Langmanowa. Więc to z tego powodu?

Lipowska. Napisał do męża list, że dziękuje za posadę i przestał się u nas pokazywać. A przecież ani mąż mój posady mu nie wymawiał, ani myśmy nie mieli nic przeciwko temu, żeby sobie dalej przychodził... Przyzna pani, że było by to dość zabawne, uważać Frania za poważnego konkurenta...

Langmanowa. To prawda.

Lipowska. Zdawało się, że taki rozsądny chłopiec... Uważaliśmy go nie za urzędnika, ale raczej za krewnego... Całymi dniami u nas przesiadywał... na obiadach, na kolacjach i to widocznie przewróciło mu w głowie... Jeśli teraz nędzę cierpi, to sam sobie winien... Gdyby był zgłosił się do mojego męża, od razu otrzymał by z powrotem dawne miejsce...

Langmanowa. Biedny chłopak.

Lipowska. Zapewne, że biedny, ale cóż ja na to poradzę... Na Helę wywarło to takie przygnębiające wrażenie... Wie pani, jaka ona wrażliwa... Wciąż martwi się o Frania, jakgdyby ona była co temu winna...

Langmanowa (*wstając*). Widzę że się trochę za bardzo pośpieszyłam z interwencją... Przyszedł taki zbiedzony... Przepraszam panią...

Lipowska. Niema za co... Przykro mi tylko, że dało to wogóle powód do chwilowego nieporozumienia. I mimo wszystko, zaraz do Frania napiszę i coś się dla niego zrobi

Langmanowa. Jaka pani dobra (*wychodząc*).

SCENA III.

Mroczyńska, Hela.

Mroczyńska (*wnosi na scenę duże tekturowe pudło, ustawia je na stole, rozgląda się po pokoju, zbliża cicho do drzwi, którymi wyszła Lipowska*).

Hela. Cóż to Mroczyńska pod drzwiami podsłuchuje.

Mroczyńska. O, o co to mnie panienka posadza... Słuchałam, czy pani Langmanowa jest jeszcze... Przynieśli suknię z magazynu.

Hela. Aa.

Mroczyńska (*zbliżając się do stołu*). Panienska obejrzy...

Hela. Nie... (*po chwili*). Czy Anusia wróciła?

Mroczyńska.. Wróciła.

Hela. Oddała list?

Mroczyńska. Oddała. Mnie się здаје...

Hela. Co?

Mroczyńska. Pani zła była, że panienska wysłała Anusie z listem.

Hela. Proszę Mroczyńskiej nie wtrącać się do nie swoich rzeczy...

Mroczyńska. Panienska zaraz się gniewa. Ja z życzliwości...

Hela. — —

Mroczyńska (*po chwili*). Dawniej zawsze jak się wyjeżdżało na lato, panienska się tak cieszyła, a w tym roku...

Hela (*nie odpowiada, po chwili, nagle*). Niech mi Mroczyńska powie...

Mroczyńska. Co?

Hela. Cóż Mroczyńska tak się wpatruje we mnie? (*zmienionym, strwożonym głosem*). Przecież... przecież się nie zmieniłam.

Mroczyńska. Panienska tak wygląda, jakby panienska była chora, albo miała jakie zmartwienie.

Hela (*po chwili, nagle*). Czy Mroczyńska miała dzieci?

Mroczyńska (*patrzy na nią, jakby nie rozumiejąc pytania*). Co też... Także się żarty panienski trzymają... (*zwraca ku drzwiom*).

Hela. Dokąd Mroczyńska idzie?

Mroczyńska. Jak paniencie nie wstyd takie świństwa mówić... Zestarzałam się i pierwszy raz słyszę, aby mnie kto o co podobnego posadzał... I to kto jeszcze... Do kościoła panienska powinna iść i wypowiadać się przed księdzem za złe myśli i oszczerstwo.

Hela. Ależ...

Mroczyńska. Moje całe życie było jak szkło kryszta-

łowe. Niczego kryć się, ani wstydzić nie potrzebuję. I powiem pani...

Hela. Na miłość Boga... Mroczyńska.... moja jedyna..

SCENA IV.

Lipowska, Hela, Mroczyńska.

Lipowska (*wchodząc do pokoju*). Myślałam, że mnie zameczy...

Mroczyńska. Przynieśli z magazynu pudelko.

Lipowska. Aha... (*zbliża się do stołu*). Trzeba będzie zaraz po Frania posłać. Wyobraź sobie, co ten osieł. Cóż ty masz taką minę...

Hela. Głowa mię boli...

Lipowska. Od czego cię głowa rozboleła...

Hela. Od tej naftaliny... Poprostu oddychać niemożna.

Lipowska. Niech Mroczyńska powie Anusi... (*do Heli*). Ale gdzież ty ją z listem posyłała?

Hela. Do pana Otockiego...

Lipowska. Zawołam Mroczyńskiej (*Mroczyńska wychodzi*). A cóż ty do niego pisała?

Hela. Żeby przyszedł.

Lipowska. Widzisz chyba, że dziś nie jest pora na przyjmowanie gości.

Hela. Ja nie rozumiem, po co my się tak śpieszymy z tym wyjazem... zupełnie jakbyśmy przed kimś uciekali.

Lipowska. Moja Helu, dla twojej fantazji wyjazdu nie będziemy odkładali. I cóż ty masz za interes do pana Otockiego?

Hela. Była mowa o tem, że wyjeżdżamy dopiero za dwa tygodnie, w ostatnich dniach się zmieniło... Poprostu grzeczność nakazywała mi go zawiadomić.

Lipowska. No, mniejsza o to (*kładzie przed lustrem kapelusz*). Nie przetrzymuj go tylko zabardzo. I mogłabyś się czem zająć.

Hela. Dobrze, zajmę się.

Lipowska. Ale, byłabym na śmierć zapomniała. Muszę do Frania zaraz napisać. Wiesz ty, co on narobił...
 Hela. Nie wiem... Co mnie Franio obchodzi.

SCENA V.

Lipowski, Lipowska, Hela, Mroczyńska.

Lipowski (*wchodząc na scenę*). Frania wspomnienie?

Lipowska. A, mój drogi...

Lipowski. Co.

Lipowska. Przed chwilą właśnie była tu Langmanowa. W sprawie Frania.

Lipowski. W sprawie Frania...

Ten osioł był u nich prosić, żeby mu Langman wystarał się o jakiekolwiek zajęcie. Podobno jest w nędzy.

Lipowski. To było do przewidzenia.

Lipowska. To że u nas niema miejsca, tłumaczył tem, że się niby uniósł i nietaktownie ci odpowiedział...

Hela Dyskretny.

Lipowska. Dziękuję ci za taką dyskrecję... Z tego mogą tylko urosnąć plotki, że Franio nagadał ojcu imperytynencji...

Lipowski. Nie przesadzaj...

Lipowska. Jak zacznie chodzić i prosić o pomoc, ludzie pomyślą, żeśmy się z nim Bóg wie jak obesзли...

Lipowski. Głupi chłopak... Hm... żal mi go bardzo... Ostatecznie tak dobrze znałem ojca, pamiętam jeszcze na parę dni przed śmiercią przylazł biedaczysko prosić, żebym się Franiem zajął...

Lipowska. Wtedy, coś mu dał stare palto.

Lipowski (*macha ręką, po chwili*). I prawdę powiedziawszy jestem bez niego jak bez ręki. Przyzwyczaiłem się do niego (*do Heli żartobliwym tonem*) Tak, tak moja panno, straciłem przez ciebie najlepszego urzędnika.

Hela (*opryskliwie*). Przechemnie?

Lipowska. Moja Helu, co ty się teraz o każde słowo obrażasz... (*do Lipowskiego*) Ja nie rozumiem, co się z tą dziewczyną stało.

Hela. Mówiłam mamie, że mnie głowa boli.

Lipowska. Pokaż no się... Ona naprawdę źle wygląda.

Hela. Ale nie... nie... zdaje się mamie... Jestem jaknajzdrowsza... głowa mnie tylko trochę rozboleła... wielka rzecz...

Lipowski. Ale ty się wciąż teraz skarżysz na ból głowy (*do Lipowskiej*). Może jeszcze przed wyjazdem lekarza się poradzić.

Hela. Nie... nie... za nic w świecie...

Lipowski. Moja mała... ty naprawdę zaczynasz dziwaczyć...

Hela. Nie pójdę do doktora... Ojczulku słowo honoru daję, mnie nic nie jest... Zdenerwowało mnie to, że z powodu Frania.

Lipowski. Ale, no tem się nie przejmuj.

Lipowska. W każdym razie z tym Franiem trzeba coś zrobić... Czy nie najlepiej było by po niego posłać. On gotów zacząć wszystkich znajomych obchodzić...

Lipowski. Poślij, proponuję mu żeby do nas wrócił...

Hela. Nie zgodzi się.

Lipowski. Ha... Uważam, że i tak za dużo już może robimy sobie z Franiem zachodu... Ale ostatecznie żal mi go...

Lipowska. Ja idę, bo się do wieczora nie wybiorę (*do Mroczyńskiej, która wchodzi na scenę*) Cóż tam znowu...

Mroczyńska. Pan Otocki przyszedł.

Hela. Ja go poproszę do gabinetu...

Lipowski. Nie, nie, nie... tu go sobie poproście (*Hela wybiega, Mroczyńska wychodzi za nią*).

Lipowska. Widzisz jak się zmieszała... Utrzymywałeś zawsze że przesadzam.

Lipowski. Jeśli nawet... Wywietrzeje jej to przez lato z głowy, a na jesień wszystko inaczej się urządzi... (*we drzwiach*). A Frania zaraz tu ściagnę... Szczerze mówiąc było by mi bardzo na rękę, gdyby wrócił do nas, teraz zwłaszcza, gdy mnie nie będzie (*wychodzi*).

SCENA VI.

Lipowska, Hela, Otock.

Otock. *(wchodzi z Helą na scenę, kłania się w milczeniu Lipowskiej).*

Lipowska *(witając się z nim, zimno)*. Dzień dobry... Przyszedł pan pożegnać swoją uczennicę.

Otock. Państwo tak nagle przyspieszyli wyjazd.

Lipowska. Tak... Heli potrzeba świeżego powietrza.

Otock. *(z lekką ironją)*. Zmiany wrażeń.

Lipowska. O i zmiana wrażeń bywa czasami bardzo korzystna *(po chwili)*. Przepraszam pana bardzo, że mu nie będę dotrzymywała towarzystwa, ale muszę wyjść. *(Otock kłania się w milczeniu)*. Przed wyjazdem tyle jest zawsze spraw do załatwienia. Spodziewam się zresztą, że pana jeszcze zastanę.

Otock. Wątpię.

Hela. Zastanie mama... Nie puszczę pana Otockiego, dopóki mama nie wróci...

Lipowska. W takim razie nie żegnam się z panem. *(Otock kłania się w milczeniu, Lipowska idzie ku drzwiom, po jej wyjściu Hela i Otock przez kilka chwil nie ruszają się z miejsc, z za sceny słychać głos Lipowskiej)*.

Lipowska. Helu!

Hela. Słucham mamy...

Lipowska *(za sceną)*. Proszę cię na chwileczkę...

Hela. Zaraz wrócę... *(Otock kłania się machinalnie, Hela wybiega)*.

SCENA VII.

Hela, Otock.

Hela *(wracając po chwili na scenę)*. Czemuś wczoraj nie przyszedł?

Otock *(po chwili)*. Widziałas jak mnie mama przed chwilą przyjęła.

Hela. Aa... tobie chodzi o twoją ambicję.

Otock. Nie... Gdyby mi chodziło... *(zmieniając nagle ton)*. Moja Helu, to jest nieszczęście, że my się ze sobą nie możemy porozumieć... Ja panuję nad nerwami.

Hela. Ty możesz.

Otock *(po chwili)*. Wiem... To twoje powiedzenie... Ty... ty chyba nie zdajesz sobie sprawy... Tak kogoś jednym słowem sponiewierać, jak ty mnie w tej chwili.

Hela *(miękkim, prawie rozmarzonym głosem)*. Nie gniewaj się...

Otock. Ja od czterech dni, odkąd mi to powiedziałaś, chodzę jak warjat...

Hela. Nie martw się, po co... *(podchodzi, zarzuca mu ręce na szyję)*. Ja ciebie tak kocham.

Otock. Ty cała drżysz!..

Hela. Nie... nie... nigdy w życiu nie byłam chyba tak spokojna, jak teraz... odkąd... *(Otock raz i drugi stara się obejrzeć niepostrzeżenie, Hela parsku śmiechem)*.

Otock. Z czegoż ty się śmiesz?

Hela. Nie bój się, nikt nie wejdzie. Wciąż się na drzwi oglądasz. Zresztą *(idzie do drzwi, zamyka je na klucz, chce iść ku drugim, Otock zabiega jej drogę)*.

Otock. Helu.

Hela. Co...

Otock. Nie, to niemożliwe. Zmiłuj się, przecież twój ojciec jest w mieszkaniu. Właśnie w ten sposób... *(Chwyta za rękę Helę, która stoi nieruchomo, jakby zahypnotyzowana i nerwowo ją wstrząsa)*. Helu... Helu...

Hela. To nie chcesz, żeby drzwi zamykać...

Otock. Błagam cię... Jeżeli nie chcesz, żebym sobie w łeb strzelił... Staraj się, posłuchaj co ci powiem, przecież nie można...

Hela. Nie... nie... nie... Ja już jestem spokojna... *(podnosi rękę do skroni, z uśmiechem)*. To dziwne, wiesz... przychodzą na mnie chwile takiego... nie wiem, jak to nazwać... jestem zupełnie przytomna, a wszystko wydaje mi się jakieś inne... Ale to przejściowe... O teraz już jestem na nowo zupełnie spokojna.. Masz rację... Ja musiałam strasznie warjacki list do ciebie napisać.

Otocki. Nie mów, nie mów... za chwilę jak ochłonieysz...

Hela. Ale, kiedy to już naprawdę przeszło. Więc słuchaj—dziś oświadczysz się o moją rękę...

Otocki. Tak.

Hela. Widzisz... Pojedziesz razem z nami na wieś i za trzy tygodnie będę twoją, żoną.... Trzy tygodnie czasu to wystarczy...

Otocki. Czekaj... nie byłaś tam...

Hela. Gdzie...

Otocki. Gdzie!.. No u tej, com ci dał adres...

Hela. Nie... Nie mogę... trudno, nie mogę... Doszłam do bramy i zawróciłam. Zdawało mi się, że cała ulica na mnie patrzy, że wszyscy wiedzą... Nie... Ty chciałbyś, przecież ja jestem młoda dziewczyna, ja mam swój wstyd.

Otocki. Helu, ja wiem, że to straszne... no... Ale.... sama rozumiesz, że to są urojenia... nikt na ciebie nie patrzył... a trzeba wiedzieć...

Hela. Ja wiem... *(po chwili)*. Czego żeś ty taki zachmurzony?

Otocki. — —

Hela. Hm... Jakie to dziwne... jakie to wszystko dziwne.

Otocki. Co?

Hela. Wszystko... Od czasu jakeśmy się poznali... Chwilami w głowie mi się to nie może pomieścić... Ja... będę... miała... dziecko... Powtarzam wyrazy... Ja będę miała dziecko i... i... zdaje mi się...

Otocki. Helu!

Hela. Czego żeś ty tak pobladł...

Otocki. Usiądź... Ja się boję z tobą mówić... Jesteś tak zdenerwowana... a najważniejsza, że od razu temu co mówię przypisujesz inne znaczenie, jak gdybym *(po chwili)*. Wysłuchaj mnie spokojnie... Od tego cała nasza przyszłość zależy... Ja dziś...

Hela. Co?

Otocki. Ty byś chciała, żeby się dziś wszystko w jednej chwili zakończyło... Ma się rozumieć... To jest męka...

I ja bym pragnął, nie potrzebuję ci chyba mówić, ale właśnie dlatego, żeby się wszystko zakończyło szczęśliwie... musimy... musimy jeszcze poczekać.

Hela. — —

Otocki. Parę dni, w ciągu paru dni załatwię swoje sprawy...

Hela. Przecież my jutro wyjeżdżamy.

Otocki *(rozklada beznadziejnym ruchem rękę)*. I ja już przytomność tracę... Helu, zastanów się, przecież to prawie śmieszne co ty mówisz... Tu chodzi o całe nasze życie, a ty mi mówisz o wyjeździe... Na parę dni można wyjazd odłożyć. Powiedz, że się źle czujesz, przemocą cię nie będą ciągnęli.

Hela. Zawołają doktora... Nie, to się dziś musi skończyć... Ty się dziś musisz o mnie oświadczyć.

Otocki *(po chwili)*. Nie mogę...

Hela. Nie możesz... Ty... ty mi teraz mówisz, że nie możesz...

Otocki *(chwytając ją za rękę)*. Helu...

Hela. Puść mnie... To boli... I nie bój się... Tak, ze mną rozmawiasz, jak gdybym była obłąkana... Ja potrafię zimno i logicznie myśleć... Dla czego nie możesz?

Otocki. Mówiłem ci.

Hela. Nie, nigdy nie chciałeś powiedzieć mi wyraźnie, zbywałeś mię półsłówkami.

Otocki. Wiesz, że moja sytuacja...

Hela. Ależ twoja sytuacja w ciągu paru dni się nie zmieni... Zresztą, ja mam posag, który nam wystarczy.

Otocki. Nie o pieniądze chodzi. Mówiłem ci, że mam pewne zobowiązanie moralne... Dopóki tych spraw nie załatwię... nie mogę... nie mogę...

Hela. Cóż to za zobowiązania?

Otocki. Nie męcz mnie. Ja już i tak...

Hela. Czegóż ty się unosisz... Zdaje mi się, że mam prawo wiedzieć...

Otocki. Helu, błagam cię... zaklinam cię na wszystko co masz najświętszego, pozwól mi nie mówić o tem... Ma się rozumieć masz prawo, sam nigdy zresztą z niczem przed

tobą się nie kryłem, znasz moje najtajniejsze myśli, ale tym razem... Przysięgam, że mi o ciebie tylko chodzi... Jesteś zdenerwowana, chora. To co dla mnie jest tylko przeszkodą do usunięcia, dla ciebie mogłoby się stać, czy ja wiem, katastrofą... Nabiłabyś sobie głowę... Wierz mi, że...

Hela. Że co...

Otocki. Mówisz do mnie takim tonem...

Hela. Mówię spokojnie.

Otocki. Albo się wszystko szczęśliwie załatwi, albo sobie w łeb palnę.

Hela *(po chwili)*. Tak.

Otocki. Co?

Hela. Nic... nic... *(podchodzi, bierze go rękami za głowę, odchyła w tył)*. Masz takie jasne oczy *(całuje go po oczach)*. Tak cię lubię całować po oczach... *(całuje znów, po chwili)*. Mój kochanku. Tak jak się przytulę do ciebie, to o niczem nie myślę—już mi dobrze. Nie gniewaj się. Ja jestem głupia dziewczyna. Bóg wie co roi mi się po głowie — — Ty wszystko dobrze zrobisz — — — Czekaj, czekaj nie mów nic, tak lubię na cię patrzeć...

Otocki. Helu..

Hela. Nie mów nic, nie mów... *(Otocki zrywa się gwałtownie z krzesła)*. Dlaczegoś mnie odepchnął. Tak mi dobrze było przy tobie...

Otocki. Nie... nie...

Hela. Co tobie jest... Człowieku ty tak pobladł...

Otocki. Ja pójdę.

Hela. Chcesz pójść?

Otocki. Nie zatrzymuj mnie... nie zatrzymuj mnie... Wieczorem do was wrócę, ale teraz, jeżeli nie chcesz *(patrzy wyczekująco na Helę, po chwili)*. Przyjdę wieczorem... rozmówię się z ojcem i albo... albo...

(Ktoś porusza klamką u drzwi, które Hela zamknęła na klucz. Hela i Otocki instynktownie odskakują od siebie).

Hela. No, jeszcze raz pocałuj. *(Całuje Otockiego, następnie idzie ku drzwiom)*.

SCENA VIII.

Franio, Hela, Otocki.

Hela *(otwierając drzwi)*. Aa, to pan...

Franio *(zdziwiony, zatrzymuje się w progu)*. Przepraszam...

Otocki. Dzień dobry *(do Heli ze sztucznym uśmiechem)*. To te drzwi były zamknięte?

Franio. Podobno... pan Lipowski chciał się ze mną widzieć.

Hela. Papa jest w gabinecie... Niech pan poczeka. Ja powiem *(idzie ku drzwiom)*.

Otocki. Więc ja teraz pójdę *(chce się żegnać z Helą, ona jednak nie odpowiadając wychodzi z pokoju, Otockiego uśmiecha się do Frania, po chwili)*. Dawnośmy się nie widzieli.

Franio. Aha...

Otocki. Pan był w Warszawie przez cały ten czas?

Franio. Gdzież miałem być?

Otocki. Myślałem, że może pan wyjeżdżał.

Franio *(znieczepliwiony, nagle)*. Ee, niech pan nie udaje.

Otocki *(odwraca się zmieszany)*.

Franio *(spogląda na niego z pod oka raz i drugi, po chwili jak gdyby chcąc zatrzeć wrażenie odpowiedzi)*. Ja teraz wyjeżdżam.

Otocki. Aha...

Franio. Zagranicę.

Otocki. Dokąd.

Franio. Jeszcze nie wiem, ale w ogóle chcę wyjechać. Tu u nas w kraju nudno *(po chwili)*. Pan długo mieszkał za granicą? Czy tam warunki życia trudne?

Otocki *(spoglądając na zegarek)*. Nie... *(po chwili)*. Ja właściwie już się z panną Heleną pożegnałem.

Mroczyńska *(wchodząc do salonu, do Otockiego)*. Panienska prosi pana do stołowego pokoju.

Otocki. Aa... *(wychodzi widocznie zdenerwowany)*.

SCENA IX.

Franio, Mroczyńska.

Franio (*po chwili*). Cóż pani Mroczyńska tak mi się przygląda?

Mroczyńska. Bo pan Franciszek wygląda jak po ciężkiej chorobie.

Franio. Bo...

Mroczyńska. A pan Franio ma teraz jakie zajęcie?

Franio. Na razie nie mam... (*po chwili, szybko*). Ale to głupstwo.

Mroczyńska. Mnie się zdaje, że teraz to się wszystko naprawi.

Franio. Jakto?

Mroczyńska. Wróci pan Franciszek do biura, po dawnemu będzie u nas bywał.

Franio. Nie... nie... Ani do biura nie wrócę, ani nie będę bywał... (*po chwili*). Wahalem się nawet, czy przyjść teraz, ale ostatecznie, skoro pan Lipowski do mnie napisał... (*po chwili, z nagłym ożywieniem*). Widzi pani Mroczyńska, mnie nie o to chodzi, że mi odmówili... Cóż trudno... ale oni zlekceważyli mnie, jak gdybym nie miał nawet prawa tak czuć, jak inni ludzie (*macha ręką, po chwili sztucznie obojętym tonem*). Ciekaw jestem, po co pan Lipowski mnie wzywał?

Mroczyńska. Ale to pan zawzięty.

Franio. Tacy ludzie jak ja muszą być zawzięci... Inaczej...

Mroczyńska. Co?

Franio. Zawsze jest się piętem kołem u wozu.

Mroczyńska. Wszyscy w domu tak żalują, że pan Franciszek przestał przychodzić.

Franio. — —

Mroczyńska. A cóż pan myśli, żebym mówiła nieprawdę. I pan i pani i panienska wciąż tylko powtarzają: Ażeby był pan Franio... Na każdym kroku brak pana (*rozgląda się po salonie*). Pamięta pan, jakeśmy to w zeszłym roku przed wyjazdem państwa rzeczy popakowali.

Franio. Aha...

Mroczyńska. W mig było, a teraz...

Franio. Tak, dużo rzeczy przez ten rok się zmieniło.

Mroczyńska. Taki pan był wesół.

Franio. I o mało przez okno nie wyleciałem, jakem zdejmował firanki.

Mroczyńska. No, bo też pan Franio wyprawiał. Dobre czasy były.

Franio. Dobre.

Mroczyńska. Ja zawsze powtarzam, że z tych amarów to tylko grzech i nieszczęście.

Franio (*ostro*). Pani Mroczyńska...

Mroczyńska. Co?...

Franio. To nie są amory...

Mroczyńska. Przepraszam, ja nie miałam zamiaru pana Frania urazić... (*po chwili*). O, póki nikogo niema... zakreśliłby się pan Franio raz dwa po swojemu i zdjelibyśmy firanki.

Franio. Także Mroczyńska ma pomysły.

Mroczyńska. Ja tylko tak powiedziałam, chciałam pana rozweselić.

SCENA X.

Franio, Hela.

Hela (*wchodzi*). Musi pan chwilę poczekać (*do Mroczyńskiej*). Mroczyńska nie wie, kto to jest u papy w gabinecie.

Mroczyńska (*widocznie obrażona na Helę opryskliwie*). Nie... (*wychodzi*).

Franio (*niestychanie sztywny*). Ja poczekam.

Hela (*po chwili*). Niechże pan siada...

Franio (*z godnością*). Dziękuję.

Hela. Cóż pan porabia...

Franio. Ja nic... owszem... (*po chwili*) Bawię się...

Hela. To pan miło czas spędza.

Franio. Nie mogę się uskarżać... (*po chwili*). Pije trochę.

Hela. Pan!

Franio. Tak.

Hela. Ale przecież pan nigdy nic nie pił?

Franio. Cóż życie jest na to, żeby je wesoło przeżyć...

Hela (*po chwili*). Panie Franiu... ja panu wyrządziłam krzywdę.

Franio. Pani mnie... skądżeż.

Hela. Ale com ja temu winna.

Franio. Nic, nic... to ja właśnie chciałem się pani spytać, czy pani nie ma do mnie żalu...

Hela. A o cóż ja bym mogła mieć żal do pana. Ja pana tak lubię. Tak bym chciała, żeby pan był szczęśliwy.

Franio. Panno Helu!... Pani... to naprawdę mówi.

Hela (*smutno*). Jaki pan zabawny...

Franio. Pani nie wie... (*chce ją pocałować w rękę*).

Hela (*wyrywając mu rękę*). Nie... nie panie Franiu... Ja widzę, że pan źle sobie to tłumaczy, co ja powiedziałam... Ja pana bardzo lubię, życzę panu wszystkiego najlepszego, ale... Wolę panu wszystko powiedzieć otwarcie... Ja wychodzę za mąż.

Franio (*bezbarwnym głosem*). Pani.

Hela. Tak.

Franio (*po chwili, szeptem*). Za kogo.

Hela. Za Otockiego.

Franio (*gwałtownie*). Ależ on...

Hela. Co... (*chwytając Frania za rękę*). Panie Franiu... pan coś wie o nim... co pan chciał powiedzieć.

Franio. Nic... nic.

Hela. Nieprawda. Pan chciał coś innego powiedzieć.

Franio. [Mnie się zdaje, że on jeszcze nie dostał rozvodu.

Hela. Rozvodu?... (*parska śmiechem*).

Franio. Panno Helu.

Hela. Nic... nic... moralne zobowiązanie... Z kim on jest żonaty.

Franio. Nie wiem.

Hela. Wie pan.

Franio. Z jakąś modelką... podobno jeszcze zagranicą się ożenił... Tylko się z tem kryje.

Hela. Kto panu to powiedział.

Franio. Ja nie wiem, czy to prawda, może to plotka... Jego kolega mi mówił, który niedawno przyjechał do Warszawy... poznaliśmy się...

Hela (*wybucha nerwowym śmiechem*).

Franio. Może to nieprawda.

Hela. To prawda... to prawda... moralne zobowiązanie (*zanosi się od śmiechu, który przechodzi powoli w spazmy*).

Franio. Panno Helu... Panno Helu... Jezus Marja... Pani Mroczyńska...

Koniec aktu II-go.

A k t III.

Gabinet Lipowskiego.

SCENA I.

Lipowski, Lipowska.

Po odsłonięciu kurtyny Lipowski na scenie sam. Siedzi w fotelu przy biurku — czyta. Po chwili do gabinetu wchodzi Lipowska, wnosząc na małej tacce maszynkę i filiżankę do kawy. Lipowski nie zwraca na wejście jej uwagi.

Lipowska (*ustawia kawę na małym stoliku, po chwili*). Kawę ci przyniosłam.

Lipowski. Aa, dziękuję.

Lipowska (*po chwili*). Mój drogi.

Lipowski. Co?

Lipowska. Możesz pomówić ze mną teraz.

Lipowski. Ba, żeby te rozmowy nasze na co się zdały.

Lipowska. Ale wreszcie coś postanowić trzeba... Ty

zamykasz się całymi dniami w gabinecie i o niczem nie chcesz słyszeć... a ja już sił nie mam.

Lipowski. Postanowiliśmy... wyjedziecie zagranicę.

Lipowska. Ale właśnie... Dokąd, kiedy... Przecie to wszystko samo się nie urządzi. — — — Trzeba wyszukać takiej jakiejś miejscowości, żeby się nie narazić na spotkanie.

Lipowski. Tak (*bębni palcami po stole*). Miła podróż... niema co mówić (*po chwili*). Czegoż ty płaczesz.

Lipowska. Ja... ja już nie mam siły.

Lipowski. Nie płacz... nie płacz... tylko ty nie płacz... Napij się kawy (*po chwili*). Ano... tak... nieszczęście nieszczęściem, a radzić trzeba... (*telefon na biurku dzwoni*). Któż tam u diabła... Ja ten telefon każę wyrzucić z domu (*przykładając słuchawkę do uszu*). A moje uszanowanie pani... Nie... nie... nie... nic groźnego... Właściwie nawet nie... rodzaj influency... Ależ prosimy bardzo... zatem do miłego widzenia (*odkłada słuchawkę*).

Lipowska (*z ożywieniem*). Z kimżeś ty rozmawiał.

Lipowski. Z Langmanową. Zapomniałem ci powiedzieć. Widziałem się z nim dziś rano, powiedziałem mu, że Hela zasłabła nagle... Wiedział, żeśmy byli już na wyjeździe, pytał się.

Lipowska. A cóż jego to obchodzi.

Lipowski. Ba, ludzie zawsze są najciekawszi tego, co ich nie obchodzi... I Langmanowa się tu wybiera.

Lipowska. Co za natrętna baba.

Lipowski. Cóż chcesz... ona nic nie wie... Nam się to wydaje natręctwem, tak samo jak mnie się zdawało, że się muszę przed Langmanem tłumaczyć, dlaczego opóźnimy wyjazd... Jak nieszczęście spadnie człowiekowi na łeb (*po chwili*). Trzeba będzie jednak ją przyjać.

Lipowska. O nie, nie potrafiłabym grać komedji.

Lipowski. Jeszcze nieraz będziemy musieli oboje grać taką komedję przed ludźmi. (*Lipowska podnosi do oczu chustkę. Lipowski zbliża się i całuje ją w rękę*). Przepraszam cię, ja cię wciąż temi swojemi uwagami rozdrażniam tylko...

Lipowska. To nerwowe u mnie... Mnie tak chwilami... mimowoli... łzy zaczynają płynąć.

Lipowski (*po chwili*). Mówiłaś Heli.

Lipowska. Nie.

Lipowski. Trzeba będzie jednak jej powiedzieć.

Lipowska. Może to odłożyć?... Ja sama nie wiem doprawdy...

Lipowski. Pocóż odkładać? Ty chyba nie przypuszczasz, że pan Otocki naprawdę po to wyjechał zagranicę, aby rozwód uzyskać (*po chwili stłumionym głosem*). A lotr!

Lipowska. To ty jej to powiedz.

Lipowski. Nie... nie.

Lipowska. Tyś jej nawet nie widział jeszcze...

Lipowski. I nie chcę jej widzieć... To za ciężkie, za straszne... Całe życie przeżyć z tą jedną myślą... z tem jednem pragnieniem w duszy... żeby dać temu dziecku szczęście... I diabli wzięli... Jakgdyby mi się ziemia z pod nóg usunęła... (*mówiąc ostatnie wyrazy, bierze machinalnie z biurka nóż do przecinania kartek i łamie w palcach*).

Lipowska. Julku...

Lipowski. Ze mną chwilami coś takiego się dzieje, że wszystkobyłem łamał i niszczył dokoła... Tyle marzeń, tyle nadziei... I to nawet nie jest nieszczęście, to tylko skandal, brudny skandal... Ty możesz sobie oczy wypłakiwać po nocach... a... powarjować możemy... na śmierć się zagryźć i nikt nie będzie miał nawet jednego słowa współczucia (*jakgdyby naśladując czyjś głos*). A to wychowali córeczkę... Wolałbym doprawdy...

Lipowska. Zmiłuj się, uspokój się...

Lipowski (*nie odpowiada, chodzi wzburzony po pokoju, po chwili*). I to poczucie absolutnej bezsilności... (*po chwili*). Napisał komedyancki, łajdacki list i uciekł...

Lipowska. Więc ty sądzisz, żeby Heli to powiedzieć.

Lipowski. Ano niech wie...

Lipowska. Nie mów tak!... Jeśli nie będziemy mieli dla niej litości... to... to...

Lipowski. No, moja droga nie płacz... Ja nieraz coś takiego powiem... Tyle gorczy mam w duszy.

Lipowska. A może on szczerze ten list napisał, może..

Lipowski. Nie. Takich listów nie pisze się szczerze... Gdy był szczerzy miał by odwagę przyjść do mnie, powiedzieć... Nie mówmy już o tem.

Lipowska. Ja się boję, że taka wiadomość może wyrzucić na nią straszne wrażenie... jeśli ona się ludzi...

Lipowski. A cóż pomoże odkładanie... Najlepiej wrzód przeciąć odrazu... Ma się ludzi, wyczekiwać... Nie, nie... jeśli co, to to właśnie może ją o chorobę przyprowadzić...

Lipowska. Ale w takim razie powiedzmy jej to razem.

Lipowski. — —

Lipowska. Widzisz co się ze mną dzieje, jaka ja jestem zdenerwowana...

Lipowski. Dobrze. — — — W takim razie zawołaj jej tu...

Lipowska. Tyś ani słowem jeszcze się do niej nie odezwał od tego czasu... To także musi ją najokropniej męczyć... Tak będzie wiedziała przynajmniej...

Lipowski. Nie, nie, nie... oczywiście... Musimy jej to oboje powiedzieć.

Lipowska (*idzie ku drzwiom, w progu*). Ale nie krzycz na nią...

Lipowski. Przecież umiem czuć po ludzku (*Lipowska wychodzi*).

SCENA II.

Lipowski, Franio, Lipowska.

(*Lipowski pochylony nad biurkiem przerzuca jakieś papiery, do pokoju wchodzi Franio*).

Lipowski. Ma pan te listy.

Franio. Mam... (*podaje mu parę listów*). Chciałem się tylko jeszcze zapytać.

Lipowski. Mój panie Franiu za chwilę o tem wszystkim pomówimy... Teraz... (*urywa po chwili*). Widział pan dziś Helę.

Franio. Nie.

Lipowski (*po chwili*). Pan wie wszystko?

Franio. Wiem (*po chwili tonem usprawiedliwienia*). Panna Hela tak głośno wtedy krzyknęła... Byłem w pokoju.

Lipowski. Tak (*po chwili*). Pocziwy z pana chłopak.

Franio. — —

Lipowski. Co ja panu chciałem jeszcze powiedzieć... Ale... nie widział się pan z tym kolegą Otockiego.

Franio. Widziałem wczoraj.

Lipowski. Cóż on mówi o jego wyjeździe...

Franio. Dziwił się właśnie przedemną, skąd Otockiemu przyszło do głowy tak nagle wyjechać.

Lipowski. Dziwił się (*po chwili*). Ale... on... niczego się nie domyśla.

Franio. Skądżeż...

Lipowski. Mógł mu tamten się zwierzyć...

Franio. Oni są bardzo źle ze sobą... nie widywali się prawie wcale.

Lipowski. Naprawdę...

Franio. Naprawdę.. Zresztą nie... przecież Otockiego by nie opowiadał...

Lipowski. Panie Franiu, pan sądzi ludzi podług siebie... Pan ma szczerzy, prawy charakter, więc ma się rozumieć, panu wydaje się to potwornem i niemożliwym, ale dla takiego lotra...

Franio. Nie... nie... nie... Jabym mógł przysiąc...

Lipowski (*macha ręką, po chwili*). A wie pan... wszystkiego, wszystkiego wolałbym się raczej doczekać... To mnie ścięło z nóg... Zdaje mi się chwilami, że już jestem do niczego...

Franio. Proszę pana...

Lipowski. Co?

Franio. Niech się pan nie martwi...

Lipowska (*wchodząc pośpiesznie do pokoju*). Mój drogi (*spogląda wyczekująco na Frania*).

Lipowski. Panie Franiu, niech pan przejdzie na chwilę do salonu. Zawołam pana.

Franio. Dobrze (*wychodzi*).

Lipowska (*mówi szybko oglądając się na drzwi*).

Chciałam cię jeszcze uprzedzić... Hela jest tak strasznie zde-
nerwowana... (*blagalnym głosem*). Mój drogi...

Lipowski. Ależ nie bój się, cóż sobie wyobrażasz...

Lipowska. Ty jesteś porywczy... Jej trzeba to jakoś
bardzo łagodnie powiedzieć...

Lipowski. Ostatecznie nie mamy jej za co dziękować.

Lipowska. Widzisz... Ja się tak boję.

Lipowski. No, to odłóżmy to...

Lipowska. Kiedy znów chciałabym... Bo tak się
wszystko dziwacznie w domu ułożyło... Ty cały dzień sie-
dzisz zamknięty w gabinecie, ona w swoim pokoju... Wiecz-
nie tak być nie może.. (*po chwili idzie ku drzwiom, uchyła*
je, woła). Helu...

SCENA III.

Lipowski, Lipowska, Hela.

Hela (*wchodzi na scenę, kilka chwil kłopotliwego mil-
czenia*).

Lipowska. Przywitaj że się z ojcem, pocałuj w rękę...

Hela (*podchodzi, automatycznie pochyla się do ręki*
Lipowskiego).

Lipowska. Pocałuj żeż i ty ją.

Lipowski (*całuje Helę w głowę*). Jakżeż się czujesz?

Hela. Dobrze.

Lipowski (*ironicznie*). A, no... (*urywa, widząc spoj-
rzenie Lipowskiej*).

Lipowska (*do Heli*). Usiądź... Ojciec chciał ci powie-
dzieć...

Lipowski. Chciałem ci powiedzieć... moja droga... ten...
ten pan musiał ci przecież coś wspominać o sytuacji, w ja-
kiej się znajduje...

Hela. — —

Lipowska. Helu, odpowiedz żeż ojcu... Mówił ci co...

Hela (*po chwili z widocznym wysiłkiem*). Nie...

Lipowski. Jakto, nie robiliście żadnych projektów na
przyszłość... (*patrzy wyczekująco na Helę*). No przecież tak
albo nie, możesz mi odpowiedzieć...

Hela. Nie męczcie mnie.

Lipowski. My ją męczymy!... (*z widocznym wysiłkiem*
woli hamuje wybuch).

Lipowska. Heluś, ojciec do ciebie tak serdecznie
mówi, a ty...

Lipowski. Daj jej pokój... Skoro ją rozmowa z nami
męczy...

Lipowska. Julku...

Lipowski. Nie rób takich rozpaczliwych min... Ja do
ciebie mówię spokojnie, możesz mi spokojnie odpowiedzieć.
Jakżeż ty sobie wyobrażasz teraz swoje dalsze życie.

Lipowska. Musiałś coś przecież myśleć.

Hela. Nic.

Lipowski. No, więc powiem ci krótko, że twój amant
uciekł.

Lipowska. Julku?

Lipowski. Nie miał nawet odwagi... Masz, przeczy-
taj list, jaki do mnie napisał... Nie chcesz?

Lipowska (*pośpiesznie*). Pisze, że wyjechał za gra-
nicę, żeby się starać o rozwód, że jak tylko dostanie, wróci.

Lipowski (*przerywa jej*). Będiesz go widziała...

Lipowska. Ma się rozumieć... na to, żeby wrócił
niema co liczyć... Więc, jeżeliś się łudziła...

Lipowski (*uderzając pięścią w stół*). A choćby wró-
cił, choćby sto rozwodów dostał. Psami wyszczuć każe... Ro-
zumiesz, psami wyszczuć każe (*chodzi wzburzony po poko-
ju*). No i co my z tobą zrobimy.

Hela (*po chwili nagle*). Ja chcę wyjechać.

Lipowski. A wyjedziesz ma się rozumieć, że wyje-
dziesz...

Hela. Ale...

Lipowski. Co?

Hela (*ponuro patrząc w ziemię*). Ja chcę wyjechać
sama...

Lipowska. Helu, co ty mówisz?

Hela. Tak.— Ja z mamą nie pojedę.

Lipowski. A dokąd że ty się wybierasz, w świat
za panem Otockim...

Lipowska. Julku, przecież ona to powiedziała... Nie

nie, nie... ja wiem co ona miała na myśli... Co tobie się troi po głowie... stało się nieszczęście, ale gdzieżbym cię puściła sama.

Hela. Ja z mamą nie pojadę.

Lipowska. Zastanów się, co ty płaciesz... Gdzieżbyś mogła sama na tyle czasu wyjeżdżać z domu.

Hela. Ja się już z niczem nie potrzebuję liczyć.

Lipowska. Helu.

Lipowski (*po chwili, smutnym głosem*). Widzisz dziecko i ty się musisz liczyć i my się musimy liczyć.

Hela. Zmiłujcie się... Ja was oto jedno tylko, błagam... pozwólcie mi samej wyjechać... Ja, ja nie mogę ani chwili tu być dłużej... Ja was znienawidzę.

Lipowska. Jak ty możesz takie rzeczy mówić. Spójrz co się z ojcem dzieje.

Hela. A co się ze mną dzieje...

Lipowski. Ha!

Hela. Ja oszaleję, ja sobie życie odbiorę... Wyście powinni to zrozumieć przecież, że ja nie mogę być z wami... Tu na każdym kroku ilé razy kto na mnie spojrzy. Przecież ja wiem co to jest dla was. Tatusku, jeśli masz choć trochę litości nademną pozwól mi samej jechać.

Lipowska. Heluś uspokój się, moja droga. My ci już wszystko przebaczymy.

Hela. Nieprawda, nieprawda...

Lipowski. Patrz Helu, mówię spokojnie bez gniewu... To właśnie najstraszniejsze, że chciałoby się płakać, a trzeba grać komedię. Tu chodzi o całe twoje życie, twoje szczęście... To się tak zdaje w pierwszej chwili, „a nic sobie z niczego nie robię, z niczem się nie liczę“ nieprawda. Właśnie sto razy więcej trzeba się teraz liczyć.

Hela. Wiec zróbcie co ze mną...

Lipowski. Ale co...

Hela. Czy ja wiem. Wydajcie mię za męża.

Lipowski. A któż się z tobą teraz ożeni?..

Hela. Ja wyjdę za byle kogo... za Frania.

Lipowski. Franio wie o wszystkim.

Hela. On taki dobry... (*zaczyna cicho płakać*).

Lipowski. Nie płacz... nie płacz... Idź do swego pokoju... uspokój się, jesteś zanadto zdenerwowana. (*Hela wychodzi*).

SCENA IV.

Lipowski, Lipowska.

Lipowska (*w chwilę po wyjściu Heli*). Co robić, co robić...

Lipowski. Czy ja wiem. To właśnie najstraszniejsze, że niewiadomo zupełnie co robić... Niema wyjścia (*z furją, uderzając pięścią w stół*). I wciąż trzeba o tem myśleć!

Lipowska. Ona tego po sobie nie pokazuje, ale ja czuję, że w niej wszystko przewraca się z bólu.

Lipowski (*siedzi przy biurku i ścisną się rękami za skronie*). Głowa mnie rozbolała.

Słychać dzwonek telefonu. Lipowski *przykłada słuchawkę do uszu*. A jak się masz... (*pośpiesznie*) nie, nie sam (*ślucho, powoli zaczyna się uśmiechać coraz weselej*).

Lipowska (*półgłosem, zbliżając się ku niemu*). Kto to mówi?

Lipowski (*niecierpliwy ruch ręką, żeby się oddaliła. Ślucho dalej, wciąż się uśmiechając, po chwili z wahaniem w głosie*). O jedenastej (*twarz mu poważnieje, nagle żalonym tonem*). Nie, nie przyjdę. — — — Córka mi chora... (*zastanawia się chwilę, jakby szukając w myśli wykrętu*). Tak... wiesz, jak to zwykle młode dziewczęta chorują... (*ślucho dalej, znów się uśmiecha*). Nie, nie, nie namawiaj mnie... Dowidzenia.

Lipowska. Kto to mówił?

Lipowski. Julek... Głupstwa wygaduje, jak zwykle... Ale cóż, nawet się pośmiać swobodnie nie można... A, żeby to się już raz tak czy owak skończyło...

Lipowska (*po dłuższej chwili milczenia*). Gdyby taki Franio chciał się z nią ożenić...

Lipowski. Ba... kto wie czy to nie byłoby najlepsze... Ostatecznie na to, żeby tak wyszła za męża, jakeśmy marzyli już niema co liczyć. Franio jest przynajmniej porządny...

Lipowska. Co to za szlachetna natura.

Lipowski. Ale...

Lipowska. Mój Boże, gdyby zaraz wzięli ślub, wyjechali zagranicę, uniknęłoby się skandalu.

Lipowski. Ano tak, ale to są wszystko marzenia... Franiowi proponować nie można...

Lipowska. On sam się drugi raz nie oświadczy.

Lipowski. Nikt nie jest skory... (*urywa, przechodzi się parę razy po pokoju*). Heluś, Heluś. Zdaje się, że to tak niedawno, jak ją na rękach nosilem.

Lipowska. Żebyśmy niewiem jak starali się ukryć wszystko w tajemnicy, to czyż można być pewnym, że to do kogoś nie dojdzie, że nie będzie plotek.

Lipowski. Można być pewnym, że dojdzie. O skandalu ludzie się zawsze dowiedzą...

Lipowska. Cóż Franio nie jest ostatecznie gorszy od innych... Wyrobi się przy nas...

Lipowski. Ale moja droga, nie nabijaj sobie głowy marzeniami... (*podchodzi ku drzwiom, woła*). Panie Franiu...

Franio (*za drzwiami*). Idę.

Lipowska. Wołasz go.

Lipowski. Muszę się dowiedzieć, co się w kantorze dzieje... Przynajmniej czemś innym myśl zajmę.

Lipowska. Nie będę wam przeszkadzała (*wychodzi, równocześnie drugimi drzwiami wchodzi Franio*).

SCENA V.

Lipowski, Franio.

Franio. Jestem.

Lipowski. Przepraszam pana, że tak długo kazałem panu czekać. Cóż tam słyhać u nas.

Franio. Telefonował Weinfeld i sp.

Lipowski. To jeszcze przy mnie... Gdzież ja te listy położyłem, co mi pan dał... zaraz je przejrzymy... (*zaczyna czytać, po chwili odkłada listy, przeciąga się zmęczonym ruchem*). Zupełnie mi się w głowie mąci... Więcej nikt nie przychodził?

Franio. Był pan Skórzewski. Chce się koniecznie osobiście z panem widzieć.

Lipowski. Wiem, wiem...

Franio. Powiedziałem mu, żeby przyszedł do mieszkania w zwykłych godzinach.

Lipowski. Hm... niepotrzebnie mu pan to powiedział. Pojęcia pan niema, jak mnie te rozmowy męczą.

Franio. Tak nalegał.

Lipowski. Nie, ja też panu nie robię wyrzutów (*ściśka się za skronie*).

Franio (*po chwili*). Głowa pana boli.

Lipowski. A, jeszcze jak.

Franio. To może ja pójde.

Lipowski. Nie, nie, nie... Trzeba te sprawy pozalać... (*po chwili*) I cóż pan mówi o tem wszystkim.

Franio. O czem.

Lipowski. O tem nieszczęściu jakie na nas spadło... Miła historia... co... Może człowiek przez jedną noc posiwieć...

Franio (*spogląda bystro na Lipowskiego, jakgdyby wypatrując siwych włosów*).

Lipowski (*spozostregłszy to spojrzenie*). No, niech pan tak dosłownie wszystkiego nie bierze co mówię... Jestem niestety wytrzymałszy niżby się zdawało... (*po chwili*) A lotr.

Franio. Mnie się zdaje.

Lipowski. Co?

Franio. Że on musi być bardzo nieszczęśliwy.

Lipowski. Pan go broni?

Franio. Nie, ja bynajmniej Otockiego nie bronie... tylko...

Lipowski. Niech pan otwarcie mówi co pan ma na myśli. Nie robimy z tego co się stało przed panem tajemnicy... Rad będę nawet usłyszeć pańskie zdanie, może mi to jaką myśl podda... sam jestem tak zgnębiony.

Franio. Ja bardzo dużo o tej sprawie myślałem... Pan wie przecież, jakie ja miałem sam uczucia dla panny Heli. Przepraszam, że o tem wspominam...

Lipowski. Ależ drogi panie Franiu...

Franio. Ja nie chcę, żeby pan myślał, że ja to mówię, jako wyrzut... Nie... nie... Ja teraz dopiero widzę, jaki ja byłem głupi, oświadczając się o rękę panny Heli... To było nawet nieuczciwe z mej strony.

Lipowski. Więc pan żałuje nawet...

Franio. Nie... nie... pan mnie nie rozumie... może użyłem złego wyrazu... nie nieuczciwie, ale brutalnie... narzucać się komuś z miłością, chcieć zmusić... Panna Hela pokochała Otockiego i... i... Ja rozumiem, że w takich razach o niczem się nie pamięta, wszystko przestaje istnieć... Człowiek ulega tej żywiołowej sile... (*urywa, jakby zawstydzony własną wymową*). Panu się to może wydaje głupie, co ja mówię.

Lipowski. Przyznam się, że niezupełnie dobrze pana rozumiem.

Franio. Ja powiem krótko. Skoro pan pozwolił mi poddać sobie myśl... Otockie jest niezamożny człowiek, a rozwód strasznie dużo kosztuje... dlatego przypuszczam nie mógł go dostać do tej pory... Ja poprostu na pańskim miejscu posłał bym pieniędzy i... i niechby się potem z panną Helą ożenił.

Lipowski. Czy pan oszalał?

Franio. Panna Hela tak go kocha...

Lipowski. Nie, nie pojmuję, jak pan może coś podobnego mówić...

Franio. Tak i on będzie nieszczęśliwy i panna Hela...

Lipowski. Nie mówmy o tem... (*Franio wstaje*) niechże pan siedzi (*po chwili*). Panie Franiu, niewiem jakie pan ma dziś dla Heli uczucie. Ale pan ją kochał prawda...

Franio (*potakuje głową*).

Lipowski. I pan może tak spokojnie mówić o tem co się stało... tego nie rozumiem.

Franio. Bo... Ludzie zawsze jak samisą nieszczęśliwi to chcą i cudze szczęście zniszczyć... Ja nie... Jabym pragnął, żeby panna Hela była szczęśliwą, a zdaje mi się, że tylko w ten sposób...

Lipowski. Nie panie Franiu, źle się panu zdaje... Przypuściwszy nawet, żebym się do pańskiej rady zastoso-

wał i dał Otockiemu możność przeprowadzenia rozwodu... Na to zawsze potrzeba czasu... a tymczasem skandal się po świecie rozejdzie...

Franio. Co znaczy skandal, skoro się ludzie kochają... To są przesady.

Lipowski. Ale pan by się teraz z Helą nie ożenił?

Franio. Ja nie...

Lipowski (*przerywając mu*). Widzi pan łatwo powiedzieć przesad...

Franio. Kiedy ja bynajmniej nie dlatego... Jabym się nie ożenił, bo bym zawiązał tylko życie pannie Heli... Skoro ona kocha kogo innego...

Lipowski. Nie.

Franio. Jaki nie...

Lipowski. Cóż ona może czuć dziś dla Otockiego... tylko pogardę... Nie, nie panie Franiu, po takich strasznych wstrząśnieniach moralnych, jakie ona przeszła nie pozostaje w duszy nic — pustka. (*po chwili*) Ona teraz dopiero mogła by na nowo pokochać kogoś, ktoby umiał wzbudzić w niej uczucie... (*po chwili*) To jedno mogłoby ją uratować, żeby ją ktoś naprawdę pokochał.

Franio — — —

Lipowski. Może da Pan Bóg... (*po chwili*) Ale mówmy już o czem innym... (*przykłada do uszu słuchawkę*) 23,81 Czy pan Skórzewski jest w domu... Niema... (*zamyka telefon*)... (*po chwili*) Tak to jedno mogłoby ją uratować... Gdyby się znalazł uczciwy, porządny człowiek, który by chciał się z nią ożenić.

Franio (*zrywając się z krzesła*) Proszę pana.

Lipowski. Co.

Franio. Ja rozumiem co pan chce powiedzieć.

Lipowski. Ależ.

Franio. Nie, nie, niech pan nie zaprzecza... To jest... niechęć nawet nazwać...

Lipowski. Ale przedewszystkiem niech pan głosu tak nie podnosi... Co to ma znaczyć.

Franio. Ja nie podnoszę głosu... Powiem panu tylko że nikt tak nie kochał panny Heli, jak ja... Ale kiedyś się

oświadczył, wyśmialiście mnie, jakgdybym był durniem, niegodnym nawet tego, aby móc mieć jakieś uczucie... Tak, a teraz pan mi proponuje, żebym się ożenił nie dlatego, nie dlatego, żeby pan się spodziewał, że panna Hela będzie ze mną szczęśliwa, tylko żeby uniknąć skandalu.

Lipowski. Cicho.

Franio. Ja krzyczeć na siebie nie pozwolę.

Lipowski. Za drzwi każę pana wyrzucić.

Franio. O, ja sam już tu nie wrócę. Tak się z ludźmi nie postępuje, jak państwo ze mną. Ja byłem oddany, byłem przywiązany, jak pies, jak nikt... to jedno co miałem w życiu, to żem całym sercem, całą duszą kochał pannę Helę i państwo to chcecie teraz wyzyskać.

Lipowski. Jeśli pan jedno słowo jeszcze pozwoli sobie powiedzieć.

Franio. Ja pomiatać sobą nie dam. Panu się zdaje, że to, że mój ojciec umarł w biedzie, że nie mogłem jak wszyscy inni ludzie, że byłem pozbawiony środków, aby zająć jakieś lepsze stanowisko na świecie, to już nie mam prawa nawet mieć ambicji... A nie... nie... Ja panu więcej powiem... Ja nie jestem taki człowiek... Ja pannę Helę do dziś dnia kocham, mimo wszystko, tak samo jak kochałem, ale się nie ożenię... właśnie dlatego, że państwo chcą mnie użyć... Ani o nią wam nie chodzi, tylko o opinię.

Lipowski. A... *(wychodzi pośpiesznie z pokoju)*.

SCENA VI.

Franio, Lipowska.

Franio *(po wyjściu Lipowskiego kilka chwil na scenie sam, przechadza się po pokoju, najwidoczniej strasznie wzburzony)*.

Lipowska *(wehodząc)*. Panie Franiu na miłość Boga, co tu się stało.

Franio. — —

Lipowska. Niechcesz mi pan powie... O czym wyście mówili...

Franio. — —

Lipowska. Panie Franiu, czy pan oniemiał...

Franio *(nie odpowiadając, podbiega ku drzwiom, podstuchuje; następnie odwracając się ku Lipowskiej, prawie z przerażeniem)*. Pan Lipowski płacze.

Lipowska. Czy pan mu co takiego powiedział.

Franio. Jezus Marja... Pan Lipowski płacze...

Lipowska. Panie Franiu.

Franio. Tak... tak... ja powiedziałem.

Lipowska. Co? Panie, przecież pan widzi co się z tym człowiekiem dzieje... A i pan już niema nad nami litości *(zawraca ku drzwiom)*.

Franio. Proszę pani. To było bardzo podle z mojej strony.

Lipowska. Ale co pan powiedział.

Franio. Nic... nic... nic... Proszę pani... ja chciałem państwa prosić o rękę panny Heli...

Lipowska. Pan...

Franio. Tak.

Lipowska. Pan chce ją wziąć panie Franiu.

Franio. Ale niech pani poprosi pana Lipowskiego... Ja się uniosłem... sam nie wiedziałem co mówię.

Lipowska. Ale co pan powiedział?

Franio. Nic... nic... Ja panią błagam nie wspominajmy już o tem... Pan Lipowski nie powinien mieć przecież do mnie żalu... I niech mi państwo nie odmawiają...

Lipowska. Panie Franiu, ja panu nie odmówię... Teraz dopiero przekonałam się, jakie pan ma złote serce...

Franio... *(pochyla się, całuje Lipowską w rękę)*.

Lipowska. I naprawdę chce się pan z Helą ożenić.

Franio. Naprawdę... wyjedziemy zaraz zagranicę.

Lipowska. Moje dziecko drogie *(obejmuje Frania i całuje)*.

Franio. Niech się państwo nie gniewają na mnie...

Lipowska. Ale za co...

Franio. Za to co powiedziałem... Ja doprawdy nie wiem jak mam pana Lipowskiego przeprosić...

Lipowska. Panie Franiu już ja go za pana przeproszę. W takich chwilach nie powinno się uraz pamiętać...

Franio. Więc państwo się zgoda.

Lipowska. Najlepiej sami się z Helą rozmówcie...
My wam nie będziemy przeszkadzali. Jeśli się ona tylko zgodzi (*wychodzi*):

SCENA VII.

Mroczyńska, Franio.

(*Po wyjściu Lipowskiej Franio znowu kilka chwil na scenie sam. Macha ręką, jakgdyby kończąc tym gestem jakąś niewypowiedzianą myśl... uśmiecha się smutno*).

Mroczyńska (*wbiegając na scenę*). Panie Franiu, czy to prawda... pan się żeni z naszą panią.

Franio. Tak.

Mroczyńska. Niechże Pan Bóg we wszystkim jak najlepiej panu Franiowi poszczęści... Ja nawet powiedzieć nie umiem, jak ja się z tego cieszę.

Franio. Dobra z pani kobieta...

Mroczyńska. Ha... A pamięta pan Franio co ja zawsze mówiłam, że na każdego jego chwila szczęścia w życiu przyjdzie, tylko trzeba czekać.

Franio. A tak... tak...

KONIEC.

CUDOWNE DZIECKO.

I.

Poznaliśmy się w hotelu zagranicą. Mówiąc „poznaliśmy się” mam na myśli nawiązanie stosunków osobistych, bo z widzenia znałem już państwa Kulkiwiczów dawno i dobrze z Warszawy. Spotykaliśmy się często w teatrach i w Alejach. Widywałem ich zawsze razem i byłem przekonany, że to matka z synem. Nie znaczy to, aby pani Kulkiwiczowa miała staro wyglądać — Boże uchowaj — mężczyźni dość natrętnie oglądali się za nią jeszcze na ulicach, ale p. Kulkiwicz wyglądał tak dziecinnie, że to wprowadzało w błąd. Na oko sądząc wyrostek — szesnasto, może najwyżej ośmnastoletni, który świeżo skończył, czy też wydalony został ze szkół i zadaje szysku po cywilnemu. Pod tymi pozorami krył się obywatel o tyle poważny, że reprezentujący trzy wielkie kamienice w trzech ruchliwych punktach Warszawy. Posag pani Kulkiwiczowej.

Z błędu wprowadził mnie jeden ze znajomych, dziennikarz, który znał całą Warszawę. Pewnego razu, gdy wybrałem się z nim przed wieczorem w Aleje, aby odetchnąć trochę świeżym wiejskim kurzem spotkaliśmy państwa Kulkiwiczów. Odezwałem się:

— Z tego chłopca jest jakiś wzorowy syn. Zawsze spotykam go z matką.

Dziennikarz spojrział na mnie, mrużąc oczy.

— Czyś pan oszalał?

- Dlaczego?
- Nie znasz ich pan?
- Z widzenia bardzo dobrze.
- Ale nie wie pan kto to jest?
- Pojęcia nie mam.

Naiwne moje wyznanie wydało mu się tak zabawnym, że aż parsknął śmiechem. W wielkich miastach, a przede wszystkim w małych miastach pozujących na wielkie miasta często napotyka się ludzi, którzy uważają sobie za punkt honoru, aby znać wszystkie skandaliczne plotki. Mój dziennikarz (jeśli komu na tem zależy, mogę dodać, że się nazywał Marek Marecki) był prawdziwym snobem pod tym względem. Nieświadomość moja nie tylko go ubawiła, ale i zgorszyła. Aby wypełnić lukę w mej kulturze wielkomiejskiej opowiedział mi szczegółowy życiorys pani Kulkieviczowej.

Dowiedziałem się więc przedewszystkiem, że przed poznaniem, pokochaniem i pojęciem za męża pana Kulkievicza, „złota Flora” była jedną z najwybitniejszych gwiazd warszawskiego półświatka.

Długoletnia świetna karjera pozwoliła jej zaopatrzyć się na starość w trzy nie estetyczne, ale duże kamienice. Od kamienic do cnoty jest już jeden krok tylko, a od cnoty do małżeństwa jeszcze bliżej. Szczęśliwą ofiarą tego prawa psychologicznego stał się niewyglądający na swe lata pan Kulkievicz.

Opowiadanie swoje Marecki akcentował ironicznymi uwagami. Ale po chwili westchnął szczerze i zmieniając nagle ton, odezwał się z akcentem melancholji:

- Swoją drogą takich kobiet jak ona dziś już niema.
- Takich ładnych?
- Nie, nie tylko ładnych, ale jakby panu powiedzieć — kulturalnych. Z nią przede wszystkim można było rozmawiać o czem pan chciał: o teatrze, o literaturze, o sztuce. To jest charakterystyczne jednak, jak z roku na rok obniża się poziom półświatka.

— Kto wie — dodał po chwili zamyślenia — może to jest wynik ogólnego obniżenia kultury.

Rozmowa nasza zaczynała się pogłębiać, wkraczając na

tory socjologii i psychologii zbiorowej. Kto wie do jakichbyśmy doszli uogólnień, ale Marecki odwrócił się nagle i złożył pełen uszanowania ukłon jakiemuś bardzo wytwornemu staruszkowi, który przejeżdżał powozem.

Staruszek nie odklonił mu się jednak.

— Nie widział mnie — mruknął Marecki.

I wymieniwszy bardzo arystokratyczne nazwisko, dodał:

— Bardzo miły człowiek. Z nim właśnie spotykaliśmy się u Flory. Stracił na nią, lekko licząc, kilkadziesiąt tysięcy rubli. Był już prawie zrujnowany zupełnie, ale dostał jakiś spadek i to go postawiło na nogi.

— Pani Kulkieviczowa odznaczała się jednak rzadką w jej zawodzie przezornością.

— Dopiero na starość zrobiła głupstwo.

— Jakie?

— Ano... wyszła za męża za tego durnia.

Marecki mówił o panu Kulkieviczu z niedwuznaczną pogardą. Nie ośmieliłbym się nigdy przypuścić, aby była w tem i nuta drobnej zawiści. Na szacunek pan Kulkievicz nie zasługiwał zapewne, ale miał coś tak ujmującego i sympatycznego w sobie, że to rozbrajało. Przystawszy go uważać za wzorowego syna musiałem mu oddać sprawiedliwość, że był wzorowym mężem. Każda cnota jest cnotą.

W rok potem powracając z wiosennej wycieczki na Riwierę do kraju, zatrzymałem się na parę dni w Paryżu. Trafiłem na fatalną pogodę: dzień w dzień padał deszcz. Paryż i w deszcz jest ciekawy, ale bądź co bądź psuło mi to humor. Miałem trochę znajomości wśród kolonji polskiej, zważywszy jednak krótki czas, na jaki wpadłem, nie chciało mi się nikogo odszukiwać. Przez dwa pierwsze dni bawiłem się sam ze sobą doskonale, ale na trzeci dzień zbrzydło mi to niezawodne towarzystwo. Ta nuda zaszła mi tak gwałtownie w jednej chwili, że można ją było tylko wytłumaczyć nerwowym kaprysem. Może był to wpływ pogody na duszę, ale dość, że powracając po południu do hotelu, marzyłem o spotkaniu kogoś znajomego z Warszawy.

Miałem przed obiadem dwie puste, nudne godziny czasu i absolutnie nie wiedziałem, czem je zapęłnić. Po nieuda-

nej próbie drzemki w pokoju, zeszedłem na dół do czytelnicy hotelowej i począłem przeglądać jakieś stare gazety. W piśmie zawsze się coś ciekawego znajdzie, po chwili więc pograżyłem się cały w lekturze jakiegoś ogłoszenia o niezawodnym środku na artretyzm, gdy nagle do uszu mych doleciała najczystsza polszczyzna.



- Ty lajdaku... (był to kobiecy głos).
 - Ależ Tereniu... (ten drugi głos był męzki, cichy i żalorny).
 - Mogą być jacyś polacy!
 - Niech będą... niech będą...
 - Nie rozumiem czego ty chcesz odemnie. Przecież nie mogę chodzić po ulicach z zamkniętymi oczami.
 - Proszę cię tylko bez głupich dowcipów!
- Ożywiony ten dyalog toczył się w sąsiednim pokoju.

tak, że osób działających nie mogłem widzieć. Intuicja mi mówiła, że to małżeńska rozmowa. Po chwili głos kobiecy wybuchł znów ze zdwojoną siłą:

— Wszystko na dobroczynność oddam.... rozumiesz wszystko... nago będziesz szedł za moją trumną.

Obraz człowieka idącego nago za trumną jest niezwykle. Mimowoli zdjęła mnie ciekawość, jak też wygląda osobnik, którego miała oczekiwać w przyszłości tak oryginalna sytuacja. Przeszedłem do sąsiedniego pokoju—był to salon i—musiałem zagryźć usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

W salonie siedzieli państwo Kuliewiczowie.

Ona była czerwona, on blady. Wzruszenie oddziaływało na nich widocznie w różnych kolorach. Wejście moje spłoszyło ich. Przynajmniej po groźnym „ty“, jakie padło z ust pani Kuliewiczowej zapanowała cisza. Pani Kuliewiczowa zmierzyła mnie od stóp do głów chmurnym spojrzeniem, jakim się karcie niepożądanych natrętów.

Należy szanować małżeńskie sprzeczki. Usunąłem się dyskretnie i—przyznam się ze wstydem—usiadłem tuż przy drzwiach, aby nic z dalszego ciągu tej ciekawej rozmowy nie stracić. Ale spotkał mnie zawód. Usłyszałem tylko: „Idę na górę“, szelest sukni i trzask zamykanych drzwi.

Pan Kuliewicz został w salonie sam.

Westchnął i zapalił papierosa, znów westchnął i szybko, nerwowym krokiem począł spacerować po salonie. Mimowoli nasuwało się porównanie, jak lew po klatce. Aczkolwiek go nie widziałem, ale nie trudno mi się było domyślić, że miał wyraz twarzy zgnębiony i zdenerwowany.

Postanowiłem wdać się z nim w rozmowę. Skierowałem się ku drzwiom i bęc!—na progu wpadliśmy z panem Kuliewiczem na siebie. Jak się później z rozmowy okazało i on przekraczał próg po to tylko, aby wdać się ze mną w rozmowę. Był to więc ciekawy objaw telepatycznego porozumienia i temu tylko prawdopodobnie zawdzięczać należy, iż nie nawymyślaliśmy sobie, jakby to napewno w podobnej sytuacji uczynili ludzie psychicznie obojętni. Bo zetknięcie się nasze było dość gwałtowne. Panu Kuliewiczowi wyleciał monokl z oka (na szczęście był na sznureczku).

Cofając się odezwaliliśmy się obaj jednocześnie:

— O, przepraszam...

— To pan Polak?

Pytanie to trochę było naiwne, bo skoro kto odzywa się machinalnie po polsku „przepraszam“, trudno przypuścić, aby był chińczykiem. Ale jako wstęp do rozmowy spełniło doskonale swoje zadanie. Pierwsze lody zostały przełamane, tak przełamane, że pan Kulkiwicz bez żadnych dalszych wstępów odezwał się odrazu znekąnym głosem:

— Słyszał pan?

— Co? — odpowiedziałem z pełnem hypokryzji zdziwieniem.

— Naszą awanturę.

Określenie było szczere. Wobec tego i ja postanowiłem ze swej strony być szczerym.

— Słyszałem.

— Ma się rozumieć, musiał pan słyszeć. Przecież ona darła się na całe gardło.

Już nietylko ton, jakim pan Kulkiwicz mówił o swej małżonce, ale i sam dobór wyrazów świadczył o pewnego rodzaju rozżaleniu. Ten stan duszy mogłem zrozumieć, dziwniejszym wydawał mi się pośpiech, z jakim pan Kulkiwicz obrał mnie za powiernika swych zmartwień.

— Nerwy...

— Nerwy! — powtórzył z przekąsem — teraz wszystko tłumaczy się nerwami.

— Żona pańska musi mieć dość żywe usposobienie.

— Ba!

Krótki ten wykrzyknik dosadniej charakteryzował temperament pani Kulkiwiczowej, niż wszystko cokolwiek mogłaby być opowiedzieć o tem słowami. Było w nim tyle żalu, tyle cichej a bezsilnej skargi, że mimo woli poczułem do pana Kulkiwicza sympatję.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W momencie tym mogłem obserwować doskonale twarz pana Kulkiwicza, ale uwagę moją zajął przedewszystkiem jego garnitur. Było to arcydzieło sztuki krawieckiej, tak samo jak kolorowa kamizelka i krawat były arcydziełem konfekcji

męskiej, koszula arcydziełem bieleziny i t. d. Pan Kulkiwicz spostrzegł mój podziw. Znekąną twarz rozjaśnił mu uśmiech zadowolenia.

— Pan patrzy na moje ubranie? Prawda, że ładne?

— Wspaniale.

— To tu w Paryżu sobie sprawilem. Ale niech pan zobaczy jak leży.

— Widzę.

— Nie, nie, tak pan nie może widzieć. Teraz może pan zobaczy... Wstał i poszedł na środek pokoju, wykręcając się do mnie wszystkimi profilami, abym jak najdokładniej mógł szlachetność linii podziwiać.

— A wie pan dla czego ono tak znakomicie leży? — zagadnął mię po chwili z uśmiechem.

— Dobry krawiec je robił.

— Tak, ale to jeszcze nic nie znaczy, bo kto ma złą figurę, to mu najlepszy krawiec nie pomoże. Ja jestem doskonale zbudowany, dlatego wszystkie ubranie znakomicie na mnie leżą — ciągnął przeglądając się w lustrze.

Aczkolwiek demonstracja ubrania miała być dla mnie przeznaczona wyszło na to, że przedewszystkiem pan Kulkiwicz podziwiał się sam. Widziałem, że sprawiało mu to rzeczywistą przykrość, że nie miał drugiej pary oczów w plecach a przynajmniej, że nie mógł tak wykręcić głowy, aby się swobodnie obejrzeć.

— Doskonale leży — zapewniłem go powtórnie.

— Cały tuzin garniturów sprawilem sobie teraz — odparł.

— Będzie pan miał zapas w Warszawie.

— I w Warszawie potrafią dobrze zrobić — odpowiedział z akcentem szczerzego uznania w głosie. Świadczyło to, że nie należał do ludzi z góry i z zasady pogardzających wyrobami krajowego przemysłu. Był to rys sympatyczny.

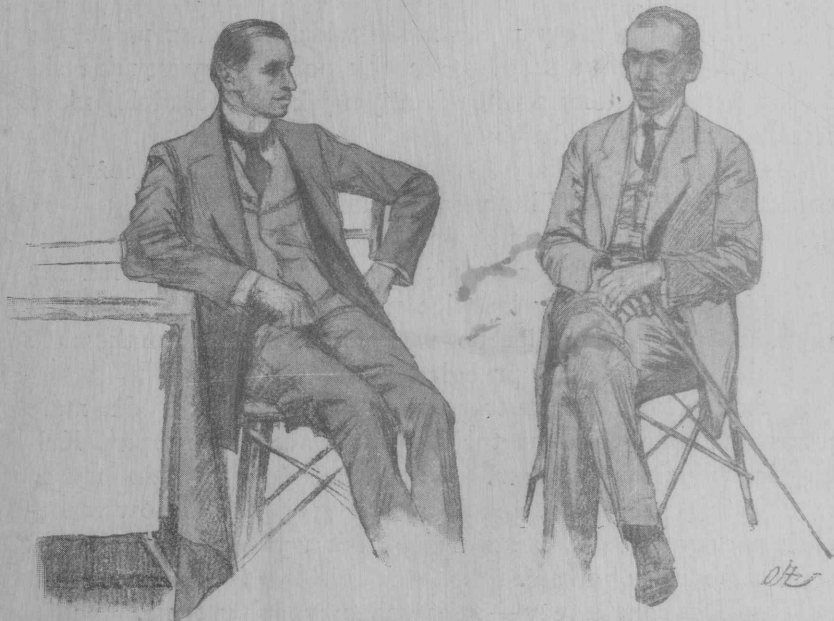
— Pocóż pan sobie tyle ubrań tu sprawiał? Jeszcze panu każą cło na granicy płacić.

— Wie pan, tak jakoś głupio być w Paryżu i wracać z pustemi rękami.

— Pod tyn względem ma pan zupełną słuszość. Skoro się jest w centrum cywilizacji...

— No—nieprawda?

W ciągu tej kilkominutowej rozmowy wyraz twarzy pana Kulkiewicza zmienił się do niepoznania. Patrząc na jego promienny uśmiech i radośnie ożywione oczy, trudno było przypuścić, że to ten sam człowiek, który przed chwilą poprostu mógł straszyć bliźnich swem zaleknionem obliczem.



— Państwo dawno bawią w Paryżu?

— Dwa tygodnie.

— Jakże się panu miasto podoba?

— Takiej kamizelki w Warszawie bym nie znalazł — odparł pan Kulkiewicz.

Czułem, że nie o kamizelkę chodziło mu w tej odpowiedzi, ale o wyraz uznania dla Paryża.

— Na lato wracają państwo do kraju?

— Do Milanówka. Dom mamy tam... Mamy tam wилę — poprawił się szybko.

— Latem mnóstwo ludzi bywa w Milanówku.

— Ja ich nie widuję — odparł smutnie.

Wraz z tonem głosu zmięknął mu się i wyraz twarzy. Wogóle pan Kulkiewicz posiadał twarz bardzo wyrazistą, na której każde uczucie odmalowywało się momentalnie. Gdy mi wyznał, że nikogo nie widuje, oczy od razu mu przygasły, uśmiech znikł z ust.

— Na brak towarzystwa nie można się chyba w Milanówku uskarżać.

— Tak—ale...

To „ale“, jak przed chwilą „bo“ znów zabrzmiało mi w uszach nutą cichej, rzewnej a bezsilnej skargi.

— Dawno pan żonaty?

— Cztery lata.

— Nigdy bym nie przypuścił... tak pan młodo wygląda.

— Bo jestem młody — odparł pan Kulkiewicz ponuro.

Roześmiałem się mimowoli.

— I to pana martwi?

— Bo, żeby pan wiedział...

Nie sądzono mi było jednak wiedzieć, bo w tej samej chwili do pana Kulkiewicza zbliżył się służący z oznajmieniem, że „pani prosi.“ To przerwało rozmowę. Pożegnaliśmy się pośpiesznie.

II.

Idę z wizytą do państwa Kulkiewiczów.

Nie jest to już pierwsza wizyta. Los sprawił, żeśmy razem powracali z Paryża do Warszawy i przelotna znajomość hotelowa przy stoliku w wagonie restauracyjnym zmieniła się w trwałą przyjaźń. Jestem przyjacielem domu, oczywiście w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu: pan Kulkiewicz i pani Kulkiewiczowa zwierają mi się ze wszystkich trosk. Możnaby stanowisko moje określić mianem uczuciowego doradcy małżeństwa.

Państwo Kulkiewiczowie zajmują piękny apartament w okolicach Alei Ujazdowskich. Sześć pokoi na czwartym piętrze, wysoko, ale we własnym domu, trzeba mieszkać skromnie, przyczem im wyżej tem powietrze lepsze, mniej

kurzu. Zbliżając się dostrzegłem zdaleka, że okno w sypialni pani Kulkiwiczowej jest zasłonięte roletą. O godzinie czwartej po południu oznacza to, że pani Kulkiwiczowa cierpi na ból głowy. Bóle głowy pani Kulkiwiczowej są zawsze następstwem małżeńskich sprzeczek.

Wizyta moja może się przyczynić do przywrócenia zakłóconej harmonii. Wobec tego przyspieszam kroku.

Winda nie chodzi. W każdej innej kamienicy warszawskiej chwilowe zepsucie się windy byłoby rzeczą zwykłą nie zwracającą niczyjej uwagi, ale u państwa Kulkiwiczów jest to wypadek sensacyjny. W domach ich panuje holenderska czystość, wzorowy porządek. Sama pani gospodyni czuwa nad tem. Przedewszystkiem jednak czuwa nad dobo-rem lokatorów, gdyż chodzi jej nie tylko o fizyczną, ale i o moralną czystość kamienicy. Wobec tego dla półświatka, choćby obserwującego jak najściślej wszelkie możliwe pozory, progi tych domów są raz na zawsze zamknięte.

Czwarte piętro. Drzwi. Wielka mosiężna tablica z napisem „Alfred Kulkiwicz“. Naciskam guzik elektrycznego dzwonka i po chwili otwiera mi drzwi sama pani Kulkiwiczowa.

— Niech go pan nie broni!... Niech go pan nie broni!... — krzyczy spazmatycznym głosem.

— Ależ...

— Nie... nie... nie!..

Bóg mi świadkiem, że nie mam najmniejszego zamiaru bronięcia pana Kulkiwicza, przedewszystkiem ponieważ nie wiem czem wobec małżonki swej zawinił, a powtóre ponieważ wiem, że wszelka obrona na nicby się nie zdała. Chciałbym odrazu na wstępie zapewnić o tem panią Kulkiwiczową, ale jest to niemożliwe. Nie spuszcza ze mnie wzroku i przy najmniejszej próbie otworzenia ust z mej strony, głuży to, co mógłbym powiedzieć, spazmatycznymi okrzykami:

— Niech go pan nie broni, niech go pan nie broni!

Przytem cofa się w tył z wyciągniętymi przed siebie rękami. Ja idę za nią i tak przechodzimy przedpokój, stółowy pokój, salon. Możnaby pomyśleć, że to jakaś figura fantastycznego tańca. W salonie pani Kulkiwiczowa osuwa się

wreszcie na kanapę, ręce jej opadają bezwładnie wzdłuż ciała.

— Znak, że mogę mówić.

— Dzień dobry pani...

— To ja się nawet nie przywitałam z panem... przepraszam. Niech go pan nie broni — dodaje szeptem i w tem nie ma już rozkazu, jest tylko prośba wycieńczonej, bezsilnej istoty.

— Ależ nie bronię.

— Wy, mężczyźni, zawsze ze sobą trzymacie.

— Nie zawsze. Niech się pani przedewszystkiem uspokoi. Czyż to warto tak się przejmować jakimś drobnym nieporozumieniem?

— Drobnym nieporozumieniem. Pan to nazywa drobnym nieporozumieniem?

— Ale co?

— Czy pan wie co ten łotr zrobił! O której on dziś do domu wrócił?

— Późno?

— O ósmej rano. I opowiada mi, że spotkał jakiegoś szkolnego kolegę.

— Ostatecznie jest to możliwe — wtrąciłem. — Gdy się spotka człowieka, którego się od dzieciństwa nie widziało, tyle się wspomnień nasuwa. Można całą noc przegadać.

— Ależ to jest podle, bezczelne kłamstwo. Żeby mieć szkolnych kolegów przedewszystkiem trzeba być w szkołach, a on nigdy w szkołach nie był.

Logika tego argumentu była niezaprzeczona. Odparłem wymijająco:

— Mógł spotkać znajomego z lat dzieciennych.

— Akurat przyznałby się do znajomości — wybuchnęła pani Kulkiwiczowa

— Ale dlaczego? — próbowałem bronić honoru pana Kulkiwicza.

— Przecież ci znajomi, których on może mieć z dzieciństwa, to hołota.

W pesymistycznym tym poglądzie było zapewne wiele słuszności. Aczkolwiek pan Kulkiwicz nigdy mi się z prze-

szłości swej nie zwierzał, jednakże z pewnych, jeśli tak można powiedzieć, żywiołowych odruchów, które paczyły czasami linje jego pięknych, arystokratycznych manier, dało się bez zbytniej przenikliwości wnioskować, że dzieciństwo mego przyjaciela było bliższe suteryn niż pałaców. Są oczywiście ludzie, którzy doszedłszy w życiu do bogactw i zaszczytów nie wstydzą się swej ubogiej przeszłości i znajdują nawet przyjemność w obcowaniu z towarzyszami dawnej, dziecięcej niedoli, ale pan Kulkiewicz do tej kategorii ludzi nie należał. Dusza jego, wyzbyta sentymentalnej uczuciowości nie była wrażliwa na wspomnienia. Słowem, podejrzenia pani Kulkiewiczowej, że małżonek jej, spędzając noc poza domem, mógł ją spędzić tylko na wiarołomstwie, były ugruntowane mocno. Wobec tego...

— Ma pani słusność — odezwałem się cynicznie.

— Prawda! — krzyknęła z ożywieniem. (Mieszały się w tym okrzyku dwa uczucia: zadowolenie, że racja jest jednak po jej stronie i bólu z powodu samego faktu). Widzi pan... każdy musi mi przyznać rację!

— A czy ma pani jakieś bliżej określone podejrzenie?

— Jakto bliżej określone?

— Do popełnienia grzechu wiarołomstwa potrzebna jest obecność dwojga osób. Jest to niezbędnie wymagalne minimum. Otoż co do tej drugiej osoby...

Na twarzy pani Kulkiewiczowej odmalował się wyraz niewysłowionej pogardy.

— Przyznam się panu, że mnie to najmniej obchodzi. Wogóle ten pan przestał mnie obchodzić... Może robić co chce i zdradzać mię z kim mu się podoba.

(Rozgoryczone żony udzielają często takich szerokich swobód mężom, ale naiwny byłby ten człowiek, któryby chciał z nich korzystać).

— Ale przecież pogodzicie się państwo...

— Nigdy.

Przetłómaczyłem to sobie w duchu „Przed wieczorem.“ Ale głośno powiedziałem:

— Szkoda.

Akcent żalu w moim głosie najwidoczniej zgorzysł panią Kulkiewiczową.

— Szkoda... Mówi pan, że szkoda... Ciekawam dla czego?

— Mąż pani jest taki sympatyczny człowiek (pani Kulkiewiczowa parsknęła ironicznym śmiechem, ale na to byłem przygotowany), miły, inteligentny...

— O, proszę pana tylko bez żartów.

— Czyż ja żartuję?

— Wszystkie zalety może mu pan przypisać, skoro o się panu tak podoba... ale mówię o jego inteligencji...

— Być może, że mu brak wykształcenia, ale przyzna pani, że posiada żywy, ruchliwy umysł.

— Posiada łajdacki spryt... nic więcej.



— W każdym razie tworzyliście państwo małżeństwo bardzo przykładne i aż do dzisiejszego dnia szczęśliwe.

Wiadomo, że proste słowa wywierają zawsze stokroć potężniejsze wrażenie niż najbardziej napuszone okreśły. Chodzi o to, aby utrafić. Otóż to moje przypomnienie małżeńskiego szczęścia państwa Kulkiewiczów—utrafiło. Pani Kulkiewiczowa wybuchnęła nagle płaczem.

— Tak... tak... byliśmy szczęśliwi.

— I będziecie państwo!

— Nie, nie... to już minęło, przeszło, nie wróci—mówiła coraz ciszej i ciszej. Potem przez parę chwil poruszała jeszcze wargami, ale wyrazów niepodobna już było dosłyszeć. Domyślałem się tylko, że musiały być smutne. Dziwił mnie trochę tragizm, z jakim całe to przejście brała. Po osobie tak doświadczonej, jak pani Kulkiewiczowa, można się było spodziewać większej wyrozumiałości na pewnego rodzaju wykroczenia przeciw etyce.

Nie wiem czy nie wyczytała mi tej myśli z oczu, bo nagle spojrzała na mnie przenikliwie i odezwała się melancholijnie:

— Pan mię nie rozumie.

— Najzupełniej panią rozumiem, tylko zdaje mi się, że pani zbyt tragicznie tę sprawę bierze.

— Otóż to... Zbyt tragicznie... to jest powiedziane wytwornie, a poprostu myśli pan sobie w tej chwili.. „Ma też baba o co awanturę robić... przecież sama“... Tak, tak, tak... Niech się pan nie zapiera... bo ja głowę bym dała zato, że pan to właśnie myślał... Może innemi słowami, ale to samo.

— Ależ zapewniam...

Pani Kulkiewiczowa nie dała mi dokończyć zdania.

— Niech pan będzie szczery... Myślał pan, czy pan nie myślał?

— Przypuśćmy, że myślałem.

Jeśli na tem szczerem wyznaniu mogła ucierpieć miłość własna pani Kulkiewiczowej, to wzamian zyskała niepomiernej jej potrzeba zwierzenia się przed kimś z bólów duszy. Bo owa, przypisywana mi przez nią a zkadinał niepoehleb-

na refleksja posłużyła jej za punkt wyjścia do zwierzenia mi się z całego życia.

Najniespodziewaniej w świecie stałem się powiernikiem najskrytszych uczuć pani Kulkiewiczowej.

I przed czystością tych uczuć musiałem uchylić czoła. Pani Kulkiewiczowa bynajmniej nie była tą osobą, za jaką wszyscy ją mieli (a i ja aż do owego historycznego dnia—po części), między społeczeństwem a nią istniało zawsze głębokie nieporozumienie. Ludzie—wiadomo, co to sądy ludzkie—otoż ludzie brali pod uwagę tylko zewnętrzną stronę jej życia, w to, jaka tragedia kryła się po zatem—nikt nie wnikał.

Zapewne, że życie jej przykładne nie było. Nawet lekomyślne, grzeszne, ale na to złożyło się tysiące okoliczności. Jakich? Mniejsza o to. Nie fakty miała spowiedź jej na celu (choć to może byłoby ciekawsze), ale ogólną ewolucję psychiczną. Okoliczności musiały być fatalne, skoro dziewczynę tak czystą jak ona, zdołały zepchnąć z drogi cnoty.

Mimo to jednak, mimo wszelkie brutalnie jaskrawe pozory w duszy pani Kulkiewiczowa pozostała zawsze sobą—tem czem była od urodzenia: skromną, niewinną dziewczyną tęskniącą do prawdziwej, czystej miłości.

Gdyby jej było chodziło tylko o tak zwaną karierę życiową, to przecież bez trudu mogła ją zrobić. Znała ludzi na stanowiskach, którzy ożeniliby się z nią na zawołanie. Jeden hrabia, prawdziwy hrabia, bogaty, życia sobie o mało z tego powodu nie odebrał, że nie chciała wyjść za niego. Już miał wszystko do samobójstwa przygotowane.

Pani Kulkiewiczowa mogła być hrabiną, ale nie chciała. Można żyć z człowiekiem bez miłości, ale małżeństwo to już jest co innego. Małżeństwo powinno być jak lustro, w którym się dwie dusze przeglądały.

Zaimponował mi ten aforyzm. I nic dziwnego. Był to jeden z najpiękniejszych aforyzmów o małżeństwie, jakie słyszałem.

Owa tęsknota uchroniła panią Kulkiewiczową od zepsucia. Śmiało, z ręką na sercu, mogła powiedzieć, że wychodząc za mąż za Kulkiewicza miała duszę tak czystą jak najniewinniejsza dziewczica. Moralnie była niewinna.

Muszę przyznać, że gdy pani Kulkiewiczowa skończyła swe opowiadanie, byłem wzruszony. Ostatecznie, bez sentymentalizmu można wyczuć tragizm kobiety, która przez cały szereg lat w najnieodpowiedniejszych po temu warunkach pielęgnuje czystość duszy, aby ją złożyć komuś w ofierze, a ten ktoś tak nie potrafi tej ofiary ocenić. Nasuwała się wprawdzie logiczna refleksja, że i pan Kulkiewicz mógł ze swej przygody wynieść duszę nieskalanie czystą, ale czułem intuicyjnie, że od uwag tego rodzaju należy się raczej powstrzymać.

I zamiast bronić przyjaciela potępiłem go brutalnie:

— Osiel!

— Całe życie zmarnowane! — westchnęła pani Kulkiewiczowa.

— No, tak źle znowu nie jest. W gruncie rzeczy mąż pani ma bardzo dobre serce. Może uległ pokusie, ale cóż to znaczy. Gdyby był przeczuł, jaką przykrość pani wyrządza...

— Ja mam właśnie o to do niego żal, że nie przeczuł — przerwała mi żywo pani Kulkiewiczowa — ludzie, którzy się kochają, powinni się intuicyjnie rozumieć i przenikać.

Stanowczo byłem bezsilny z moją zimną logiką wobec tak wzniosłych i pełnych poezji argumentów.

— Mąż pani jest w domu? — odezwałem się po chwili.

— Niewiem.

Z góry spodziewałem się takiej odpowiedzi. I z góry wiedziałem również, że pan Kulkiewicz był w domu. Po tak jaskrawym buncie przeciwko obowiązkom małżeńskim musiała przyjść reakcja w postaci skruchy i pokuty wśród czterech ścian gabinetu. Gdy zapukałem do drzwi, odpowiedział mi z zewnątrz znękany głos:

— Kto tam?

Ująłem za klamkę, drzwi były zamknięte na klucz.

— Otwórz no pan.

— Ach, to pan...

Było to powiedziane takim samym apatycznym tonem, jak i pierwsze zapytanie. Ponieważ pan Kulkiewicz witał mnie zawsze z uciechą, więc ten brak modulacji w głosie



świadczył o wysokim stopniu depresji moralnej, w jakiej się musiał znajdować.

Rzeczywiście wyglądał jak człowiek, który przebył ciężką chorobę. Ale ubrany był bardzo starannie. Jego wrodzony estetyzm sprawiał, że nawet w chwilach najcięższych przygnębień nie zapominał o staraniach toaletowych. Oczom moim przedstawił się jak wcielenie tęczy. Miał na sobie zieloną piżamę, fioletowe skarpetki, różową koszulę. Aż do szyi tworzyło to bardzo malowniczą całość mężką. Wrażenie psuła tylko twarz blada, zmęczona, wycieńczona.

Rolety w oknach były zapuszczone i w gabinecie panował złotawy półmrok.

— Cóż pan nabroił?

Kulkiewicz westchnął ciężko.

— Ach wie pan, że już mi życie brzydnie.

— No?

Zauważyłem, że od pierwszej chwili pan Kulkiewicz tak manewrował, aby wciąż być zwróconym do mnie lewym profilem. Wskazał mi miejsce na kanapie a sam zasiadł przy biurku i odrazu oparł prawy policzek na dłoni. Była to pozycja wygodna, ale miałem wrażenie, że przyjacielowi memu nie tylko o wygodę chodziło.

Zacząłem go strofować.

— Już kto jak kto, ale pan nie powinien na życie narzekać.

Kulkiewicz uśmiechnął się boleśnie.

— Tak się panu zdaje.

— Zapali pan papierosa? — zwrócił się do mnie po chwili.

— Owszem.

Zbliżył się do biurka i w tej chwili dopiero wyszło na jaw jak nieopatrznym był ten akt gościnności mego przyjaciela. Bo pudełko z papierosami stało po prawej stronie olbrzymiego stołu i sięgnąć po nie lewą ręką było bardzo trudno. W każdym razie tylko jakaś chęć popisania się zręcznością mogła taki ruch upozorować. Chcąc przyjść memu przyjacielowi z pomocą w tym przykrym konflikcie sam sięgnąłem szybko po papierosa. Ale równocześnie pan Kul-

kiewicz, rezygnując widocznie z drobnych ambicijek męzkich na rzecz szczerości, odsłonił twarz.

— Widzi pan? — jęknął zbolalym głosem.

Były to drobne ślady skaleczeń. Bez przenikliwości jakiegoś powieściowego detektywa można było dojść do wniosku, że paznokcie u ręki, która je zadała, były starannie, ostro wypolerowane.

— Żeby wściekły pies mnie tak pogryzł — jęczał pan Kulkiewicz tobym się nie dziwił, ale kobieta, żona...

— Ostatecznie i pan nie jest bez winy.

— Bez winy, bez winy! — mruknął pan Kulkiewicz. — Mówię panu, że już mi życie obrzydło. W tych warunkach żaden mężczyzna by nie wytrzymał. Każdy inny na mojem miejscu jużby się dawno rozwiódł.

Pierwszy raz w życiu zdarzało mi się widzieć mego przyjaciela w tak tragicznym nastroju.

— Wie pan o czym ja tu myślałem?

— No?

— O samobójstwie. Słowo honoru panu daję, że myślałem o samobójstwie.

Wyrzuciwszy z siebie to wyznanie, pan Kulkiewicz spojrzał na mnie wyczekująco i po chwili wyraz pewnego przykrego rozczarowania odmalował mu się na twarzy. Uraziło go najwidoczniej, że mogłem tak spokojnie tej wiadomości wysłuchać.

— Nie wierzy mi pan? — odezwał się smutno.

— Ależ wierzę... Jakże mógł bym panu nie wierzyć, skoro mi pan dał słowo honoru. Sądzę jednak, że z dwojga zleго, skoro małżeństwo ma pana aż do samobójstwa doprowadzić, to lepiej niech się pan rozwiedzie.

Pan Kulkiewicz spojrzał na mnie z bezgranicznym zdumieniem.

— A cóż ja bym robił?

— Jakiś co?... Odzyskał by pan swobodę.

— No tak, ale z czego bym żył?

Było to powiedziane tak prosto, tak szczerze, z taką głębią naiwnego uczucia, że odrazu usuwało wszelką dyskusję. W milczeniu uściśnięłem pana Kulkiewicza za rękę.

III.

W parę dni potem spotkałem państwa Kuliewiczów w teatrze. Siedzieli w łoży. Wystarczyło jednego spojrzenia na rozpromienioną twarz pani Kuliewiczowej, aby się przekonać, że wszelkie burze domowe zostały już zażegnane i że harmonja między czułem małżeństwem zapanowała z powrotem.

Ale była to harmonja jednostronna. Bo twarz pana Kuliewicza, mimo pozorów wesołości, zdradzała utajoną melancholję.

Obserwowałem go przez cały jeden akt. Śmiał się — jak inni, ale raz po raz odwracał głowę od sceny i błdził zamyslonem spojrzeniem po świetlnych plamach łysin w krzesłach i po suficie. Otóż te zamyślenia nic dobrego nie oznaczały. Gdy pan Kuliewicz był zamyślony znaczyło to, że go gnębiła jakaś wewnętrzna troska.

Grano komedję, tłumaczoną z francuskiego — mniejsza o tytuł i o autora i osnutą, jak dość dużo komedyi zresztą na temacie zdrady małżeńskiej.

Wyszedłszy w antrakcie na papierosa spotkałem pana Kuliewicza. Ślady zadrapań zeszły mu z twarzy (małżeńskie rany goją się prędko), wytworny był jak zwykle, ale smutny. Wobec mnie nie miał tych obowiązków delikatności uczuciowej, jak wobec żony, więc nie potrzebował się z prawdziwemi swoimi uczuciami tajić.

— Cożes pan taki ponury?

— Tak, westchnął, starając się zapalić papierosa od przeciwnego końca, co świadczyło, że myślami daleki był od rzeczywistości.

I po chwili dodał z westchnieniem:

— Prześliczna sztuka...

— Podoba się panu?

— Bardzo... bardzo... Taka prawdziwa, z życia wzięta.

Pierwszy raz w życiu zdarzało mi się słyszeć pana Kuliewicza, wypowiadającego sąd o jakimś utworze literackim. Były to rzeczy, nie wchodzące w zakres jego myślenia. Bardziej jednak jeszcze zastanowił mnie ton jakim, to mówił.

Komedja posiadała silne farsowe zacięcie i oczywiście autorowi jej o nic innego nie chodziło, tylko o to, żeby widzów rozśmieszyć.

Tymczasem pan Kuliewicz był najwidoczniej rozrzucony.

— Kto to napisał?

Wymieniłem mu nazwisko autora.

— To nie polak?

— Francuz.

Pan Kuliewicz westchnął jeszcze boleśniej. Mimowoli parsknąłem śmiechem. Pan Kuliewicz spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Z czego się pan śmieje?

— Z pańskiej grobowej miny.

— Łatwo się panu śmiać...

I naraz wracając myślą do sztuki, która widocznie wywarła na nim głębokie wrażenie, odezwał się zlekka ożywionym tonem:

— Przecież takich małżeństw, jak to na scenie, to jest dużo na świecie.

— Zapewne.

— I u nas także.

— Może mniej niż we Francji — zrobiłem patryjotyczne zastrzeżenie — ale się zdarzają.

— To jest bardzo psychologiczne.

Zdumienie moje dosięgło szczytu. Wprawdzie na biurku pana Kuliewicza w widocznym miejscu leżał „Słowniczek wyrazów obcych“, ale nie sądziłem, aby to pożyteczne dziełko aż taki wpływ na jego erudycję wywarło.

— Bardzo psychologiczne — ciągnął pan Kuliewicz po chwilowem milczeniu. Małżeństwo przez pewien czas się kocha, a potem...

— Przestaje się kochać?

— Nie, nie to... Ale przecież... kobieta może się zająć kimś innym...

— I porzucić męża?

— Po co? — wykrzyknął pan Kuliewicz i tym razem w głosie jego zadźwięczał akcent szczerzego oburzenia.

Z panem Kulkiewiczem można było rozmawiać bez ogródek.

— A co byś pan zrobił, gdyby pana żona zaczęła zdradzać?

— Ja? — krzyknął, i twarz mu się rozpromieniła, ale był to tylko przelotny blask, który zagaśł w jednej chwili. Odparł:

— Moja żona mnie nie zdradzi.

W tem zapewnieniu jednak nie czuć było ani dumy, ani radości.

Zrozumiałem stan duszy mego przyjaciela. Pan Kulkiewicz tęsknił ku swobodzie, ale nie za „wszelką cenę“, jak to się mówi popularnie tylko za jedną i ściśle określoną cenę. Niestety wobec ewolucji psychicznej jego małżonki ku odrodzeniu, to było właśnie wykluczone.

Dzwonek na rozpoczęcie aktu przerwał nam rozmowę. Pan Kulkiewicz poszedł do żony smucić się dalej wśród ogólnego śmiechu.

Ale przynajmniej był tym jedynym człowiekiem w teatrze przed którym głupia francuska farsa otwierała dalekie marzeniowe perspektywy.

Po przedstawieniu poszliśmy razem na kolację. Pani Kulkiewiczowa była w cudownym humorze, rozbawiona, pan Kulkiewicz, nie mogąc się widocznie odrazu otrząsnąć z ponurych refleksyj, jakie wzbudziła w nim sztuka, siedział z początku zamyślony i ponury. Żona potrafiła go jednak rozweselić odrazu

— Coś ty taki smutny?

— Ależ nie...

Pytanie było wypowiedziane tonem groźnym, odpowiedź bez przekonania.

— Niech że pan na tę gębę spojrzy—powołała mnie na świadka pani Kulkiewiczowa, tracąc humor, a wraz z tym i wykwinność wysłowienia... Ile razy chcę się trochę zabawić...

Nie dokończyła zdania.

— Ależ ja jestem w doskonałym humorze — przerwał jej gwałtownie pan Kulkiewicz i nie chcąc poprzestać na go-

łosłownych twierdzeniach tylko, parsknął tak hałaśliwym śmiechem, że aż sąsiedzi poczęli się na nas oglądać.

I wpadł w prawdziwy paroksyzm elokwencji. Mówił



za siebie, za żonę, za mnie, śmiał się, dowcipkował, słowem był w złotym humorze aż do chwili, w której najnieprzewidziański w świecie wypadek zmusił go do zamilknięcia w polowie zdania.

Tym wypadkiem było wejście nowej pary na salę: starszego, okazałego mężczyzny (którego zresztą ani wiek, ani okazałość żadnej w danym razie nie odegrała roli) i wysokiej smukłej blondyny z marzycielskimi niebieskimi oczami. Te oczy były przepiękne, aczkolwiek prawdopodobnie zawiodły by tego, ktoby je chciał być uważać za zwierciadło duszy.

Nowa para musiała przejść koło naszego stolika. I nagle gdy oczy blondyny spotkały się ze wzrokiem pana Kulkiwicza, pan Kulkiwicz umilkł, zaczerwienił się, zmieszał, na ustach blondyny wykwitł nieokreślony uśmiech, pani Kulkiwiczowa, marszcząc groźnie brwi obrzuciła oboje — męża i blondynę błyskawicznym spojrzeniem, ja spojrzałem na blondynkę, pan Kulkiwicz na panią Kulkiwiczową, pani Kulkiwiczowa na mnie — słowem był to istny, krzyżowy ogień spojrzeń po za plecami starszego, okazałego pana, który sam jeden nie brał w tem wzrokowym zamieszaniu udziału.

Przy stoliku naszym zapanowała chwilowa cisza. Usiłował ją przerwać pan Kulkiwicz.

— Otóż, wracając do tego com mówił...

Pani Kulkiwiczowa zerwała się gwałtownie z krzesła.

— Chodźmy do domu...

— Tak wcześnie...

— Głowa mnie boli...

Pan Kulkiwicz nie usiłował już wracać do tego, o czem mówił. Podniósł się blady, ponury, apatyczny.

— Pani często cierpi na bóle głowy?

— Nie brak mi do tego powodów — odparła sentencjonalnie pani Kulkiwiczowa.

— Pan zostaje?

— Ja jeszcze chwilę zostanę.

Uścisnąłem na pożegnanie silnie pana Kulkiwicza za rękę.

— Odwagi!

Powiedziałem to szeptem tylko dla niego.

Pan Kulkiwicz odparł mi szeptem:

— Niech pan jutro do nas przyjdzie.

Odpowiedziałem mu potakująco oczami. Coprawda nie miałem zamiaru obietnicy tej dotrzymać. Może to jest nie

ładnie, ale trudno. Nie będę tu wyluszczał powodów, dla któ-

rych zamierzałem to uczynić, ale w owym czasie postanowiłem rozluźnić już nieco moje stosunki z romantycznym stadłem państwa Kulkiwiczów. Nie obiecywałem sobie więc aby go ujrzyć naza-jutrz.

Ale los zrządził inaczej. Rano leżałem jeszcze w łóżku, gdy pan Kulkiwicz zjawił się u mnie.

Wizyta o tak niespodziewanej porze musiała zwiastować coś niezwykłego. Pan Kulkiwicz był blady, wzburzony, ręce mu się trzęsły. Przyjście jego wyglądało trochę na pożegnálną wizytę przed samobójczym zamachem.

Ale tak źle nie było. Pan Kulkiwicz przyszedł tylko zwierzyć mi się ze swej niedoli — wypłakać, co mu ciążyło na sercu.

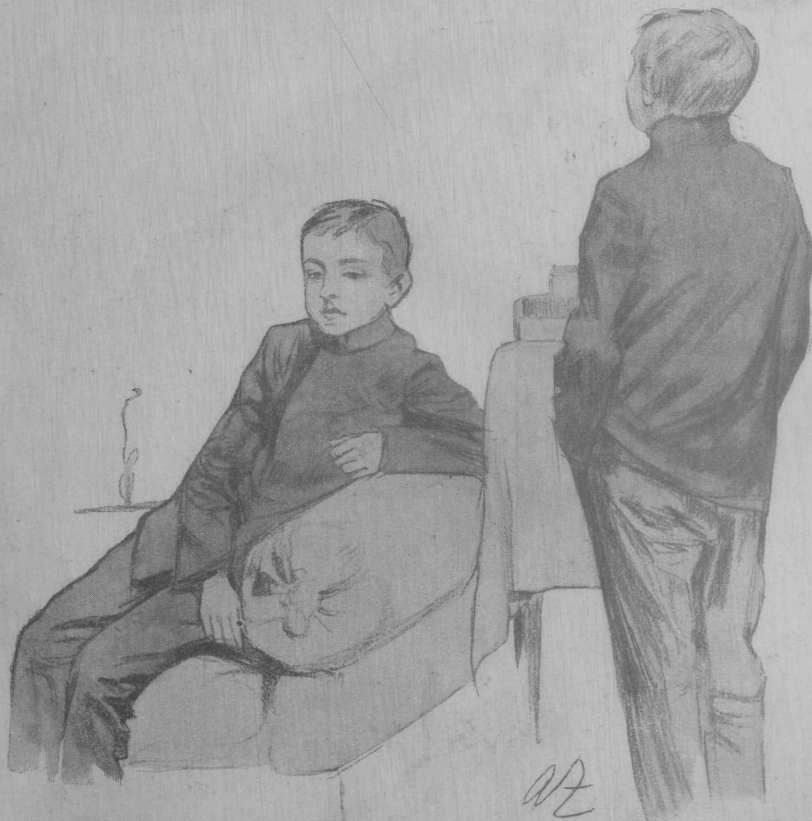
— Widział ją pan?... westchnął, siadając na krześle przy łóżku.

— Widziałem — od-

parłem, domyśliwszy się bez trudu o kogo mu chodziło.



- To była Mańka!
- Imię dość rozpowszechnione w Polsce... W każdym razie bardzo przystojna osoba.
- Niech pan nie żartuje, ja się w niej od dzieciństwa Kocham!



Po tem patetycznem wyznaniu, pan Kulkiwicz opowiedział mi historję swego życia.

IV.

Otóż przedewszystkiem stwierdzić należy, iż rzucony w rozgoryczeniu przez panią Kulkiwiczową zarzut, jakoby małżonek jej nigdy do szkół nie chodził, nie był słusz-

ny. Pan Kulkiwicz do szkół chodził i skończył dwie klasy. Nie jest to wiele, ale daje prawo do rozpoczynania wspomnień od utartego frazesu.

— Kiedy jeszcze byłem w szkołach...

— A dlaczegoż pan na dwóch klasach poprzestał? — odezwał się niedyskretnie, wysłuchawszy tego zwierzenia.

— Wyrzucili mnie — odparł pan Kulkiwicz szczerze. I przyznał mi się, iż od dzieciństwa talentu do nauk nie posiadał.. Za to wyróżniał się w szkole — urodą. Był najładniejszym uczniem w klasie. Oczywiście — skoro już Pan Bóg kogoś na nieuka przeznaczy to lepiej aby był przystojny niż brzydki. Duma więc z jaką pan Kulkiwicz mówił o tych swoich tryumfach szkolnych była — bądź co bądź — uzasadniona.

— Wie pan jak mnie przezywali? — zagadnął mnie z zagadkowym uśmiechem.

— No?

— Cudownem dzieckiem. Jeden nauczyciel mię przeważał i odrazu cała klasa to podchwyciła.

— Bardzo słusznie.

Pan Kulkiwicz spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Dlaczego?

— Bo pan był cudownem dzieckiem. Uroda jest takim samym darem niebios, niezależnym od woli ludzkiej, jak talent, albo wyjątkowa inteligencja.

— Wie pan, że ja to samo myślałem! — krzyknął z radosnem ożywieniem w głosie.

— Ale — dodał po chwili — to mi niedawno dopiero na myśl przyszło. W dzieciństwie wstydzilem się tego, że byłem taki ładny... Słowo honoru panu daję.

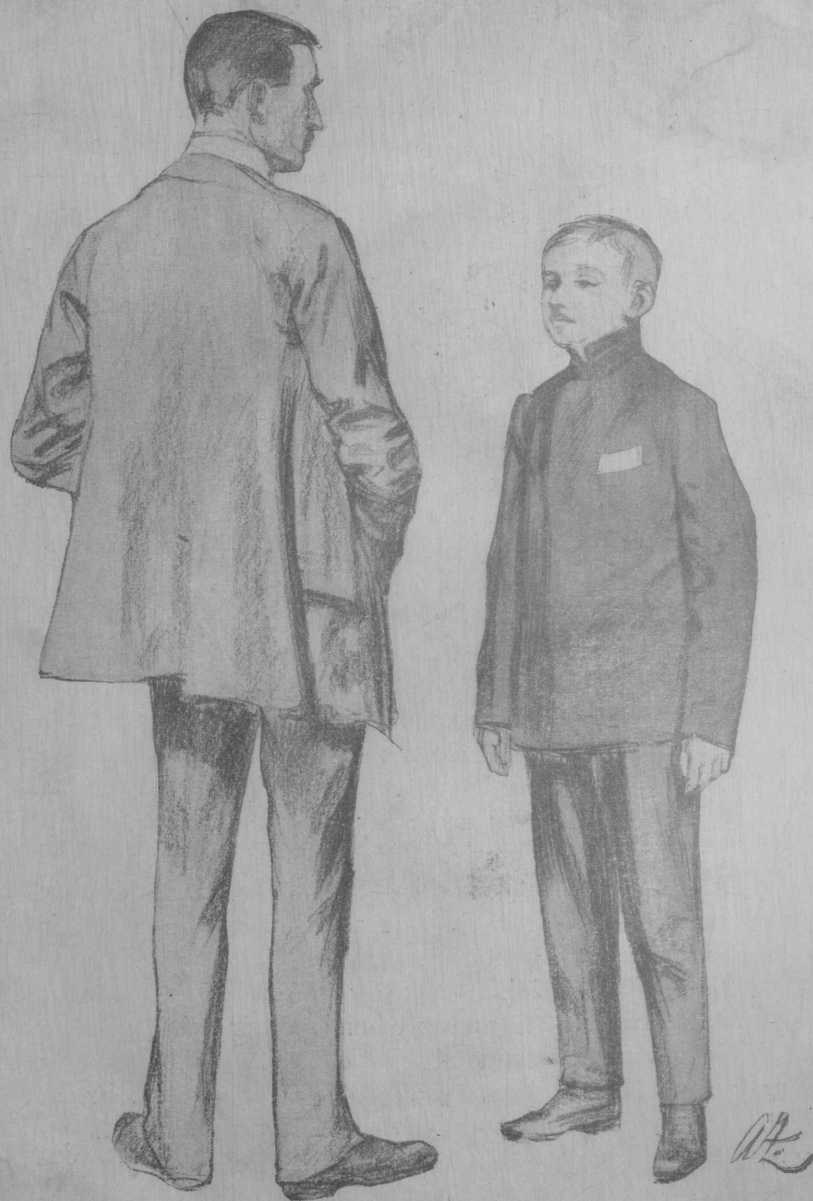
— Najniepotrzebniej. Wierzę panu i bez słowa honoru.

— Zabekiwałem się nieraz całemi godzinami.

Wspomnienie tych niepotrzebnych żalów było tak żywe w duszy pana Kulkiwicza, że aczkolwiek szereg lat już go dzielił od owych chwil wypowiedział to prawie płaczliwym tonem.

— A pocóż się pan tak martwił?

Wyszło na jaw, że było to skutek złej edukacji domowej.



Ojciec pana Kulkiwicza, stary, zasuszony urzędnik nienawidził (nie wnikaliśmy w to z jakich powodów) tej wyjątkowej urodziwości syna i obrzydzał mu ją na każdym kroku. Z paru słów niezbyt gorącego wspomnienia, jakie pan Kulkiwicz rodzicowi swemu poświęcił, mogłem go sobie wyobrazić, jako człowieka o ponurym, zgryźliwym charakterze, któremu monotonię życia osładzała ta jedna tylko nadzieja, że niedoczekając, aż syn „na durnia wyrośnie“.



— Zawsze mi powtarzał — zwierzał mi się szczerze pan Kulkiwicz — „Na bałwana wyrośniesz, ale ja tego nie będę widział“.

I nagle uśmiechnął się, błysk tryumfu zamigotał mu w oczach.

— A ja mam teraz trzy kamienice... żeby stary to wiedział. — Wstyd by mu było.

Miałem wrażenie, że ten tryumf moralny nad niebo-

szczykiem pogodził pana Kulkwicza chwilowo z niewolą małżeńską.

Ale był to rodzaj zasadzki uczuciowej w jakie czasem dusza wpada.

Drogą bardzo naturalnych skojarzeń, myśl pana Kulkwicza od trzech kamienic przeszła do żony. W jednej chwili twarz mu się zmieniła. Zdawało się, że odrazu o dziesięć lat się postarzał.

— Szkoda — odparłem, że o uczuciach nieboszczyków nic pewnego powiedzieć nie można. Ale zapewne ojciec pański...

Pan Kulkwicz nie dał mi skończyć zdania.

— Ii... — przerwał z obrzydzeniem... mnie już to całe bogactwo kością w gardle stało.

— Na to najłatwiejsza rada.

— Ba, żeby mi tylko o wolność chodziło... Ale ja się kocham! — jęknął rozpaczliwym tonem.

— W tej osobie którą spotkaliśmy wczoraj?

— Tak. I to już od kilkunastu lat. My się znamy od dzieciństwa — dodał, mierząc mnie tragicznym spojrzeniem.

— A ona nie odplaca się panu wzajemnością?

Pan Kulkwicz nie mi zrazu nie odpowiedział na to pytanie. Siedział błądy, nachmurzony — to jeszcze nic — ale naraz nerwowym ruchem ręki potargał włosy... I nie zerwał się z krzesła, aby doprowadzić głowę do porządku przed lustrem.

Świadczyło to już o strasznej walce wewnętrznej.

Ale, o ile by kto, jak ja, poznał dzieje tej nieszczęśliwej miłości nie dziwiłby się temu i nie odmówił napewno biednemu panu Kulkwiczowi swego gorącego współczucia.

Osoba, której zadziwiająco pięknosc mogłem stwierdzić własnymi oczami, była córką stróża z tej kamienicy — gdzie wychowywał się pan Kulkwicz. Poczciwy stróż, dzielący swój czas między alkoholizm a urzędowanie w bramie, dał jej wszystko na co go stać było: dużo urody oraz ten podstawowy brak skrupułów etycznych, bez którego sama uroda była by rzeczą martwą i poniekąd nieużyteczną. Kobiety jak wiadomo rozwijają się wcześniej od mężczyzn. Gdy więc pan

Kulkwicz doszedł do lat romantycznych, w których człowiek zaczyna odczuwać potrzebę kochania i wszystko dla tej



potrzeby poświęci — nawet podręczniki szkolne, za które w antykwarniach jeszcze pewną sumę uzyskać można — ukończona i wybrana przez niego „Mańka“, aczkolwiek o rok od

niego młodsza wyprzedziła go już znacznie w rozwoju poglądów na życie.

I romantycznym jego wyznaniom przeciwstawiła trzeźwy, praktyczny realizm.

— Ja cię także bardzo kocham — mówiła, ale widzisz ty jesteś obdartus. Jakbym się związała z tobą, mogła bym sobie całe życie zmarnować.

Była w tym nuta melancholji, no i jak dla pana Kulkiwicza ta pociecha przynajmniej, że uczuciem jego nie pomiatano bezwzględnie.

Ze sprytem filozoficznym, o który bym nigdy mego przyjaciela nie posądzał, pan Kulkiwicz starał się jej wytłumaczyć, że każde uczucie składa się z momentów następujących po sobie w czasie i że można je ograniczyć do jednego momentu.

Ale Mańka wyczuwała intuicyjnie, że na drodze wszelkich bezinteresownych porywów — pierwszy krok jest najniebezpieczniejszy.

I to ustrzegło ją od pokusy.

Rozeszli się. Aczkolwiek pan Kulkiwicz, jak wielu artystów w początkach kariery twórczej nie uświadamiał sobie swego talentu, którym była uroda, jednakże mimowoli, żywiołowo szedł po drodze, jaką talent ten przed nim zakreślił. I jak muzycy żyją z muzyki a malarze z malarstwa, tak on żył z urody. I zarazem jak muzykom, poetom i malarzom praca zarobkowa nie przeszkadza zostawić części swych marzeń dla siebie tak i on, pomimo rozmaitych burzliwych przygód życia — piastował w duszy obraz swej pierwszej miłości. Marzył o tem, że jeszcze kiedyś w życiu spotka Mańkę — bogaty.

I marzenie to się spełniło, ale jakżeż ironicznie.

— I co ja mam zrobić... niech mi pan poradzi? — szepnął ze łzami w oczach, ukończywszy swe opowiadanie.

Rozłożyłem beznadziejnie ręce. Cóż mu mogłem poradzić. Życie stwarza sytuacje nierozwikłane.

Wkrótce potem stosunki nasze się zerwały. Pani Kulkiwiczowa obraziła się na mnie za jakiś rzekomy brak szacunku.



Przestaliśmy się widywać i drogi nasze tak jakoś się rozeszły, że nawet nie spotykaliśmy się w publicznych miejscach.

Państwo Kulkiewiczowie, jak się dowiedziałem skądinąd, żyli bardzo odosobnieni, dzieląc czas między uczucie i dobrotliwe uczynki, którym pani poczyniała się oddawać z coraz większym zapalem.

Przed paru tygodniami spotkaliśmy się w Alejach. Minęliśmy się bez ukłonów. Uszedłszy parę kroków, obejrzałem się za siebie i równocześnie pan Kulkiewicz się obejrzał.

Uśmiechnął się blade.

Był w tym uśmiechu żal i smutek zmarnowanego „cudownego dziecka“.

SPIS RZECZY.

Młodzieniec o krótkim nazwisku	I
Kuracja	15
Wybraniec losu	21
Blizna	31
Tonio	40
Szczęście Frania	49
Cudowne dziecko	105



1527

A